

Dziś w numerze: ● J. BABIŃSKI *Kuszenie turystów* ● Z. FIJAS *Dyngus na wysoki połysk* ● *Dwie minuty podróży* ● *Halo, tu Łódź!* ● *Simenon czyli Balzac bez dłużyzn* ● *Świąteczny konkurs*

odgłosy



14 (506)
7. IV. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



Fot. A. Wach

IGOR SIKIRYCKI

W OJCZY- ZNIE DAWIDA ZASUNU

A więc jesteśmy w Erewaniu. Dziwne to miasto. Właściwie na wskroś nowoczesne, chociaż gdzieś tam ocalały jeszcze unikalne lepianki, w których do niedawna żyła większość mieszkańców tej egzotycznej stolicy. Z ramienia Komisji Zagranicznej Związku Literatów w Moskwie opiekuje się nami Wiktor Borysow, pisarz,

a ściślej mówiąc tłumacz polskiej literatury. Niezwykle sympatyczny. Podczas wojny cudem wy dostał się z płonącego czołgu i to gdzieś na polskiej ziemi. Po polsku mówi znakomicie, a co ciekawsze wykazuje kapitalne rozeznanie w labiryncie naszej współczesnej literatury. Ale po Erewaniu oprowadzał nas nie Borysow, lecz ktoś bardziej kompetentny: Edward Papian, naczelny architekt Armenii, który przed paroma miesiącami gościł w Warszawie. Od niego dowiedziałem się, że w 1926 roku Erewan liczył zaledwie 65.000 mieszkańców, a obecnie dopędza Łódź. Zdumiewająca dynamika — wprost niewiarygodna. Nic dziwnego, że w tych warunkach trzeba było zbudować całkiem nowe miasto. I tak powstała nowa, piękna stolica Armenii, mieniąca się bogactwem odciśniętym wulkanicznymi tufów, stanowiących łatwy w obróbkę, a jednocześnie niezwykle trwałe budulec, stolica, która w roku 1968 obchodziła 2750 rocznicę swego istnienia.

Ale największe uznanie należy się twórcom nowoczesnego planu miasta, bardzo jednolitego pod względem urbanistycznym; nie zapomnieli o kontynuacji narodowych form, nawiązując do staroarmenjskiej architektury. Nic więc dziwnego, że w ostatnim okresie wzrasta gwałtownie liczba

Ormian powracających z całego świata do swojej ojczyzny, przed którą zarysowały się niebywale perspektywy wszechstronnego rozwoju.

Być w Erewaniu i nie zwiedzić Matanadaranu, to znaczy nie być w Erewaniu. A więc dzisiejsze przedpołudnie spędziłem w Matanadaranie, największym skarbcu Armenii — muzeum i jednocześnie archiwum, w którym przez długie wieki zgromadzono około trzynastu tysięcy niezwykle cennych manuskryptów i dokumentów, nie wyłączając polskich.

Zwiedzałem już w wielu krajach wspaniałe muzea, bogate skarbcze i oglądałem niejedną cenną księgozbiór, ale muszę przyznać, że nigdy w życiu książki nie wywarły na mnie tak ogromnego, rzekłbym wstrząsającego wrażenia, jak właśnie te zgromadzone w Matanadaranie — sercu Armenii. Jakże często (niestety zgodnie z treścią informatora) na pożółkłych pergaminowych kartach widnieją tam ślady ognia, miecza i krwi, tej krwi, która stała się ceną życia niejednej książki. I chyba nigdzie indziej wielkość tego narodu, który stworzył przecież własną wspaniałą kulturę i wniósł ogromny wkład w rozwój

Dalszy ciąg na str. 5

Pogodnych Świąt

życzy
REDAKCJA

ZOFIA TARNOWSKA

TĘTNO ŻYCIA

Stacja Pogotowia Ratunkowego w Łodzi. Dyżurka zespołu reanimacyjnego. Głos z megafonu przekazuje lapidarne polecenia dyspozytorni: Zespół „R” — wyjazd. Pierwszy podrywa się kierowca. Nim lekarze i sanitariusz zdążyli zbiec na dół, zabierają po drodze zlecenie wyjazdu, karetka reanimacyjna już wyjechała z garażu. To trwało 30 sekund. Charakterystyczny sygnał toruje drogę wśród pojazdów na ulicach miasta. Pasy bezpieczeństwa pozwalają utrzymać pionową pozycję na bocznych siedzeniach obok noszy. Na głowach kaski.

Aleja Kościuszkii nr... Na tapczanie młoda kobieta. Tętno niewyczuwalne. Lekarze i felczer bez słowa rozpoczynają ratunek. Aparat „Ambu” uciskany rękami anesteziologa wtlacza powietrze do ust zatrutej. Błyskawiczny wywiad — rozmowa z domownikami. Silnie działające leki dożylnie. Minęła dopiero minuta. Jeszcze minuta: jest tętno. Miarowo uciskany worek aparatu „Ambu”, do którego podłączony jest tlen, wydaje głuchy odgłos kiedy wypełnia się powietrzem. W momencie kiedy lekarz prosi o laryngoskop kłatkę piersiową chorej podnosi się nagle i opada. Wrócił samodzielny oddech. Jeszcze parę ruchów aparatu „Ambu”.

Do szpitala! Podjedź karetką do samych drzwi! Dokumenty chorej! Nosze! Ostrożnie! Tętno! Lekarz informuje bazę: jedziemy do szpitala. Przez radio-telefon odpowiada głos dyspozytorki: przyjęłam. W czasie krótkiej podróży baza informuje szpital o przyjeździe „erki”. Izba przyjęć. Lekarz bez słowa sięga po zasobnik z tlenem, prosi o odsysacz. Nie jest już potrzebny. Kobieta już przytomna, płacze.

Od czasu wyjazdu do czasu dowiedzenia chorej do szpitala minęło 12 minut. Gdyby 10 minut później wezwano Pogotowie, gdyby nie było zespołu reanimacyjnego...

Przeszło rok temu na ulicach Łodzi pojawiła się karetka reanimacyjna oznaczona symbolem „R”. Przez 14 miesięcy zespół reanimacyjny wyjeżdżał 1909 razy. Blisko

Dalszy ciąg na str. 3



Wiosna w świecie politycznym Europy zaczęła się pod znakiem budapeszteńskiego apelu. Zainteresowanie propozycją zwołania europejskiej konferencji nt. bezpieczeństwa i współpracy jest nieporównywalnie większe niż przed trzema blisko laty, kiedy to państwa Układu Warszawskiego z inicjatywą taką wystąpiły po raz pierwszy. Wynika to z pewnością z dwóch powodów — potrzeby takiej konferencji oraz zawartej w apelu konkretyzacji dróg jej przygotowania. Reakcja wielu kół politycznych Europy jest pozytywna. Z niedyskrecji prasy zachodniej można wnioskować, że rządy państw zachodnich konsultują się wzajemnie i że apel będzie przedmiotem zainteresowania rady ministerialnej NATO, która w kwietniu ma zebrać się w Waszyngtonie.

Warto odnotować, że w NRF apel wywołał różnicowany odzew. Skala reakcji jest duża — od zdecydowanej odpowiedzi „nie” — po przestrogi, aby idei konferencji nie odrzucać. Kanclerz Kiesinger — jak dotychczas — nie zabrał na ten temat głosu. Pod pozorem choroby, która jednak nie przeszkodziła mu w wyjeździe do Austrii, zastosował wiele mówiący unik.

Również administracja Nixona przemilczała apel. Komentatorzy amerykańscy nie ukrywają, że inicjatywa 7 krajów socjalistycznych zaskoczyła koła polityczne USA i że nowy rząd nie jest przygotowany do ustosunkowania się.

Apel zbiegł się z zakończeniem kolejnego etapu prac przygotowawczych do światowej narady partii komunistycznych i robotniczych w Moskwie, której termin ustalono ostatecznie na 5 czerwca.

Atmosfera, w jakiej przebiegały rozmowy 67 delegacji, pozwala stwierdzić, że powstały warunki do przeprowadzenia narady i że będzie ona w stanie wnieść swój wkład do zespolenia ruchu komunistycznego w walce z imperializmem.

Niewątpliwie czas, jaki pozostaje do terminu narady będzie wykorzystany do zapewnienia jej jak najbardziej reprezentatywnego charakteru.

Komunikat o przygotowaniach do moskiewskiego spotkania partii komunistycznych i robotniczych całego świata rozwiał złudzenia wielu kół imperialistycznych, które przeceniały trudności, wynikające z różnic zdań oczekując, że uniemożliwią one odbycie narady. Tak więc po zgodności stanowisk na posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego w Budapeszcie — wielu polityków i komentatorów zachodnich przeżyło drugie, w krótkim czasie dotkliwe rozczarowanie.

Z pozaeuropejskich punktów zainteresowania w ostatnim okresie najgłośniejsze o Bliskim Wschodzie. Niemal powszechnie oczekuje się, że w najbliższych dniach dojdzie do rozmów przedstawicieli czterech mocarstw w sprawie trwającego konfliktu. Rozmowy mają dopomóc amb. Jarrin-gowi w spełnieniu jego pokojowej misji.

Stany Zjednoczone w związku z rozmowami przekazały ostatnio swój „plan” rozwiązania kryzysu bliskowschodniego. Jak można zorientować się z napływających informacji, USA „uważają za niemożliwy powrót do granic z 1967 roku”, proponują natomiast stworzenie strefy zdemilitaryzowanych oraz wprowadzenie wojsk ONZ w bliskowschodnie rejony. Komentując ten projekt prez. Naser stwierdził, że udziela on poparcia poglądom Izraela. Komentatorzy podkreślają, że najprawdopodobniej na proponowane rozwiązanie nie zgodzi się także Izrael, przeciwny w ogóle czterostronnym konsultacjom.

Min. Eban na zakończenie swej długiej wizyty w Stanach Zjednoczonych zapowiedział z góry możliwość odrzucenia rozwiązania, jakie wysunę czterej stali członkowie Rady Bezpieczeństwa.

Nie upoważnia to do nadmiernego optymizmu. Rozmowy „czwórki” mają być prowadzone w sposób dyskretny, a memorandum, jeśli w ogóle w wyniku tych rozmów uda się je opracować, ma stanowić tylko „punkt wyjścia”. Mimo to już same rozmowy czterostonne są pewnym krokiem naprzód.

Z innych ważnych wydarzeń zwróćmy uwagę na międzynarodową konferencję w sprawie nieprzedejścia zbrodni, jaka obradowała w Moskwie. Narada zakończyła się wystosowaniem apelu do narodów świata, aby przyłączyły się do uchwalonej przez ONZ konwencji o nieprzedejściu zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości.

Z trybuny konferencji mocno zabrzmiał głos Polski, która w II wojnie światowej — w stosunku do liczby ludności — poniosła największe straty. W swym wystąpieniu min. Sprawiedliwości — Stanisław Walczak m. in. przypomniał, że w latach 1945—68 z liczby 62.371 oskarżonych zbrodniarzy hitlerowskich — w NRF skazanych zostało tylko 6.500 osób, a dochodzenie prowadzi się wobec dalszych 19 tys.

Z porównania tych liczb wynika, że problem ścigania i karania zbrodniarzy jest nadal otwarty i nie może być ograniczony żadnym terminem.

Przypomnijmy, że rząd NRF próbował już uznać zbrodnie hitlerowskie za przedawnione i tylko presja opinii światowej zmusiła Bonn do wyciągnięcia się. Zdecydowano wówczas o przedłużeniu terminu ścigania zaledwie do 31 grudnia 1969 r.

Dziś w NRF podnoszą się głosy, aby datę tę uznać za ostateczną, a tym samym uwolnić od odpowiedzialności tysiące zbrodniarzy. Jest to sprzeczne z Konwencją ONZ i sprzeczne z elementarnym poczuciem sprawiedliwości. Dlatego apel moskiewskiej narady wzywa wszystkie kraje, a w tej liczbie i NRF, do przystąpienia do wspomnianej konwencji. Proklamowano również 1 września „Dniem walki z faszyzmem”.

W. SŁAWSKI

LISTY do REDAKCJI

ZAWODNICY I DZIAŁACZE

W odpowiedzi na artykuł ob. red. Skibickiego — pragnę dodać parę spraw moim zdaniem pominiętych. Ja wiem, że można na temat ŁKS-u oraz sportu łódzkiego napisać całe tomy. Tych rze czy jest tak dużo, że starczyłoby na kilka artykułów. Ale dziennikarze sportowi chowają głowy w piasek przy sprawach drażliwych. Boją się oni narażać zawodnikom i ich mecenasom. (Może ich nie wpuszczają na mecz lub nie udzielają wywiadu?) Gdzie oni wszyscy byli jak zaczynało się psuć w ŁKS? Nie będę pisał o różnych podłożeniach się oraz sprawach finansowych klubu i zawodników. Przecież wszyscy się znają — nie zrobi nikt drugiemu krzywdy. Jak usunął trenera Pegzę — to napisano delikatnie, że udzieliłono mu 2 tygodni urlopu.

Druga sprawa to trenera Jezierskiego — czy on aż tak się nie nadaje? Pana opinia jest wysoce krzywdząca a nawet do pewnego stopnia obraźliwa. Jak można tak mówić o człowieku, który stara się jak może i z tego, co ma, tworzy zespół. Już byli w ŁKS trenerzy I klasy (hochsztaplerzy) i co z tego wynikało? Praca świadczy o człowieku i jego wartościach, a nie dyplom. A jak zda egzaminy i będzie miał I klasę, to się polepszy?

Pan Jezierski był jedynym, który wprowadził Lubąńskiego (szczególnie w nieszczęśliwym, że Kowalski złamał nogę bo by chłopak musiał odejść) i innych z drużyny IB, niemym, rezerwowym co siedzieli na ławce.

Jeżeli chodzi o całość artykułu to pragnę dodać, że w „osłach z importu” pominął Pan Wilczyńskiego. Niech statystyka wyliczy ile puścił on bramek przez nonszalancję i lekceważenie, które to decydowały o stracie 2 p. Na pewno zbierze się co najmniej 4—6 p. które to brakły drużynie w ostatecznym rozrachunku przed meczem z Pogonią. Nie mam nigdy żalu do bramkarza, jeżeli widzę, że się stara, ale jeżeli się opuścił to z bramki należy usunąć, a dać może i gorszego ale pracowitszego. Dla sprawiedliwości dodam, że obronił on też kilka bramek prawie pewnych, ale to jego zawód — jego powinność (pozostało mu to z lat dawnych, gdy był w reprezentacji młodzieżowej). Inna sprawa to forsowanie Sadka w środku. Trener Kunciewicz lepiej wie, co może ten zawodnik, i daje go na prawe skrzydło a w Klubie inaczej. Jest to zawodnik, który ma strzał i bieg, ale nie nadaje się do gry w środku (polczył Pan kiedyś, ile pojedynków głowkowych wygrał Sa dek z obrońcami?). Ale w Klubie tego nie widzą. Kto dał prawo oddania do innych okręgów zawodników (Jalocha, Fiodorow, Orczykowski, Dawidczyński i wielu wielu innych grających w całej Polsce ale nie w Łodzi). Co na to ŁKKF? A Maślanka w ŁKS był niedobry, a w Pogoni jest jednym z lepszych? Horn może grać w I lidze a w ŁKS podawał piłki zza bramki? Kto załatwił, że Dej na został trzeci rok w Legii? Kto za to wszystko odpowiada? I tu dziennikarze sportowi milczą jak grób. Proszę wziąć przykład z dziennikarzy Szczecina i Wrocławia, jak u nich wygląda walka o prawdziwy sport w ich okręgu — ich szczere zaangażowanie.

Pisze się, że na Śląsku jak drużyna przegra to spada produkcja — a w Łodzi nie spada?? Należy prze-trzebić trochę tych „działa, czy”, co tylko mają darmo-wy bilet, ale roboty uczciwej w Klubie nie uświadczyć.

Plakać się chce, jak człowiek pomyśli o tym, co się dzieje w łódzkim sporcie wyczynowym. Pomyślał kto o hokeistach? Czy ponieśli karę działacze bokserscy i sędziowie, którzy spreparowali mistrzostwa Łodzi w sposób skandaliczny i odbiegający od ducha walki sportowej i uczciwej? Przecież aż widać było ordynarne ustawienie walk i wygranych zawodników typowanych do reprezentacji. Walka była jak były dwa różne Kluby. Ustawia się reprezentację z góry i jeżeli przyjdą laury to dla działacza, a jeżeli nie przyjdą to winni zawodnicy — prawda? Żal mi tylko niektórych zawodników np. piłkarskich, którym działacze przewrócą w głowie (finansowo) i marnuje się talenty w Łodzi i województwie.

Andrzej Borkowski, Łódź

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Chcę panu złożyć podwójne gratulacje. Za otworzenie w „Odgłosach” miejsca dla spraw sportu i za trafny wybór tematu inauguracyjnego. Od dziesiątków lat utrwalilo się w przekonaniu łódzian, że ich autentyczną i najbardziej miarodajną reprezentację sportową stanowi ŁKS. Wiele się w układzie sił na terenie miasta zmieniło, ale pogląd ten dominuje nadal. Nie jest także tajemnicą, że nie tylko w Łodzi podstawowe kryterium oceny poziomu sportu stanowią wyniki piłkarzy. Nic tedy dziwnego, iż po zeszłorocznej „katastrofie” ligowej jedenastki czerwono-białych wzmo-gły się krytyczne głosy atakujące wartość działalności nie tylko tego klubu ale całego ruchu sportowego. Jakże więc słusznie podjęły „Odgłosy” ten problem piłkarski piórem Zbigniewa Skibickiego w artykule pt. „Cesarskie cięcie — konieczność”. Mamym jednak obawy, czy autor trafił w sedno sprawy, a już niektóre jego poglądy i sformułowania wywołują gwałtowny protest.

Źródła niepowodzeń bywają różnorodne i oczywiście zawsze można za klęskę obwiniać działaczy, kierownictwo klubu. Tak się też najczęściej czyni, zwłaszcza na naszym, krajowym gruncie. Ale czy słusznie? Oto znakomity zespół angielski, Manchester United, zdobywca Pucharu Europy aktualnie znajduje się w strefie spadkowej angielskiej ligi. O ile wiem, nikt nie no si się z zamiarem zdymisjonowania dyrektora tego klubu, myśli się natomiast o zmianie na niewaligijny posterunku — trenera i me-nagera. Zabolęć też może w tym świetle zarzut, jakoby ster w ŁKS objął ludźle nie posiadający do tego odpowiednich kwalifikacji.

To jest krótkowzroczność. Pragnę zauważyć, iż w momencie, gdy owi działacze z „małego fabrycznego klubiku” obejmowali swe agendy w ŁKS, klub ten pogrążony był po uszy w długach, stan organizacyjny wołał o natychmiastową i szero ką pomoc. Przyjrzyjmy się dzisiaj szemu stanowi: piękna świetlica na rogu Piotrkowskiej i Moniuszki, nowa, na lokalne stosunki, wręcz gigantyczna, trybuna z wyposażeniem, o jakim się zapewne nestorem ŁKS nie marzyło, zasobne magazyny sprzętu, czy to jest dzieło dyskwalifikujących działaczy z „małego fabrycznego klubiku”?

Autor akceptuje w zasadzie transfery piłkarzy, ale ma pretensje o ich wartość. Wymienia m. in. Kosidera i Maślankę, jako chybione nabytki. Ale trzeba natychmiast przypomnieć, że Kosider grał w I zespole Zagłębia i należał do najlepszych snajperów tego I li-gowego sosnowieckiego zespołu, a trzeba było nie lada zabiegów o uzyskanie zgody na zmianę jego barw klubowych. Maślanka? Toż on był jednym z współautorów po-rażki ŁKS z Pogonią, w wyniku której łódzianie musieli opuścić ekstraklasę. Maślanka był „zwerbowany” z Poznania, gdzie w swoim czasie był najwybitniejszym z napastników. Całkiem innym zagadnieniem jest ich zagadkowa ob-niżka walorów na gruncie łódzkim. I Kosidera i Maślankę. Czyż by im nasz klimat nie odpowiadał?... Ale przecież poznaniak Wilczyński przyjął się znakomicie! A więc?...

„Brano też — powiada autor — piłkarzy z klubów łódzkich i województwa. Okazało się, że tam byli gwiazdoram, natomiast w meczach I-ligowych porządnie kopnąć piłki nie mogli”...

Czyżby? A Szefer i Kowalski z Pabianic? Obaj trafili nawet do reprezentacji Polski.

Jerzy Wieteski, wychowanek ŁKS, w bardzo młodym wieku a-

ŁÓDZIANIE W KARYKATURZE



Władysław Rymkiewicz
pisarz — jubilat

Rys. Ibis-Gratkowski

wansował do I zespołu. Był po-zytecznym zawodnikiem zarówno na lewej flance, jak i w obronie. Za-stanawiam się, czy o tym zasłu-żonym zawodniku, członku dru-żyny, która wywalczyła mistrzostwo Polski, godzi się powiedzieć, iż „wałsał się po boisku” i dyskre-dytował go innymi tego typu o-kreśleniami.

W sferze personalnych spraw, Zbigniew Skibicki dyskwalifikował działaczy, a potem, z wyjątkiem Sadka, wszystkich absolutnie piłkarzy, „ustępujących mu co naj-mniej o klasę”. Uczynił to z lek-kim sercem, nie zdając sobie czy-ba sprawy, że jego poglądy mogą być niesłuszne, a arbitralne werdy-kt i określenia — wręcz głęboko krzywdzące.

Powłada: „Trzeba więc decy-dować się na radykalne cięcie: od-młodzenie zespołu piłkarzami am-bitalnymi, silnymi fizycznie, którzy po kilkunastu miesiącach zmagają w II lidze nabiorą szlif i rutynę. Ale na podjęcie takiej decyzji trze-ba odwagi i konsekwencji”. Tylko przyklasnąć takiej receptce. Led-wie się jednak ochłonie z wraże-nia, jakie ona mogła wywołać, na-chodzi refleksja: skąd mianowicie tych chłopców wziąć. Młodych, am-bitalnych, silnych fizycznie nie brak w naszym mieście. Sek w tym, że najwłaśniejszą zaletą winny być je-dnak zdolności czysto piłkarskie a-depti. A z tym jest nieco trud-niej. Talenty nie rodzą się na kamieniu, lecz trzeba je szukać, trze-ba szkolić i to jest chyba podsta-wowy problem. W tym względzie można by postawić ciężkie zarzu-ty, nie tylko jednak ŁKS-owi. Przed prawie 15 laty Federacja Sportowa „Włókniarz” podjęła am-bitny wysiłek intensywnego szkole-nia młodzieży. Z tzw. Szkołki Włó-kniarza wywodzili się piłkarze, któ-ry zasilili nie tylko ligową dru-żynę ŁKS, wdziałli się również w innych klubach. Sceptycznie zra-zu oceniany eksperyment bez wą-pienia zdał egzamin i natychmiast po takim stwierdzeniu zaizuceno-go. Zwiększył się okrutnie front szko-lenia młodych piłkarzy. Skutki wie-dome.

Sprawdzić zawodników z innych terenów? Coraz trudniej. Po pierw-sze, piony sportowe, a w nich po-szczególne federacje hermetycznie zamykają swe szeregi przed możli-wością emigracji. To samo czynia okręgi. Spróbujcie, proszę, zwerb-o-wać piłkarza ze Śląska. Niebotycz-ne przedsięwzięcie. Ba, usiłowa-no to uczynić w niedalekim Piotrkowie. Absolutnie wykluczone.

Pozostaje praca z miejscową mło-

dzieżą i wtem, że przygotowuje się szczegółowe plany jej rozbudowy na szeroką skalę. Ze późno — to jest właśnie ten zarzut, który moż-na postawić i ŁKS-owi i wszystkim klubom, a przede wszystkim wla-dzom okręgu. To oczywiście musi trwać. I trzeba sobie również zda-wać sprawę, że w aktualnej sytu-a-cji ŁKS przestał być monopolistą w naborze uzdolnionych juniorów. Już mu wyrósł silny rywal na Ba-lutach, nie zasypia gruszek w po-piele Włókniarz, któremu nie moż-na odmówić II ligowych aspiracji. Sprawa staje się więc coraz trud-niejsza i cięższa. Wymaga nie tyl-ko talentu organizatorskiego dział-a-czy, ale również i odpowiedniej wokół klubu atmosfery. Otóż wła-snie obawiam się, że interesujący i na pewno z temperamentem napi-sany artykuł Zbigniewa Skibickie-go nie bardzo do poprawy klimatu wokół ŁKS mógł się przyczynić.

Załączam wyrazy szacunku
WIESŁAW KACZMAREK

KOMUNIKAT

Z okazji Międzynarodowe-go Dnia Teatru 1969 Towarzystwo Przyjaciół Łodzi u-fundowało doroczną nagrodę „Srebrnej Łódki” za spektakl o wybitnych walorach idea-wo-artystycznych wystawio-ny na łódzkiej scenie pomię-dzy Międzynarodowym Dniem Teatru 1968—1969 r.

Powołano Jury w osobach: Sergiusza Klaczkowa, Barba-ry Lis, Ryszarda Stefańczyka, Mieczysława Jagoszewskiego, Stanisława Kaszyńskiego, Henryka Pawlaka, Jerzego Panasewicza, Romana Łobo-dy i Marka Wawrzewicza.

Po żywej i wyczerpującej dyskusji Jury pod przewod-nictwem Sergiusza Klaczkowa przyznało nagrodę Państwo-wemu Teatrowi Powszechnemu za wystawienie sztuki Er-nesta Bylla „Rzecz Listopa-dowa” w reżyserii Romana Sykały i scenografii Zbignie-wa Bednarowicza.

W dyskusji zwrócono uwa-gę na inne wyróżniające się spektakle grane w tym sezo-nie na scenach łódzkich: „Pierścień wielkiej damy” C. Norwida (w teatrze Nowym), „Taniec śmieci” A. Strind-berga (w teatrze Powszech-nym), „Rewizor” Gogola (w teatrze Nowym).

Przewodniczący Jury
(—) SERGIUSZ KLACZKOW

TĘTNO ŻYCIA

Dalszy ciąg ze str. 1

400 razy interweniował skutecznie. 14 osób wyprowadzono ze stanu śmierci klinicznej. Łódź jest drugim po Wrocławiu w kraju miastem, które zorganizowało karetkę reanimacyjną własnym przemysłem. Była to

Reanimacja jest to przywracanie do życia osób znajdujących się w stanie śmierci klinicznej, której objawami jest ustanie krążenia i oddychania. Stan śmierci klinicznej trwać może 3-5 minut. W tym czasie istnieje możliwość powrotu do życia o ile akcję ratowniczą rozpocznie się natychmiast po ustaniu akcji serca. W ożywieniu stosuje się zabiegi, których głównym celem jest pobudzenie do pracy serca i oddechu, a co za tym idzie — zaopatrzenie w tlen mózgu i przywrócenie jego czynności. Jeżeli śmierć kliniczna trwa ponad 5 minut w mózgu, do którego nie dochodzi tlen, powstają trwałe zmiany i mimo przywrócenia oddychania i obiegu krwi przytomność nie wraca i chory ginie. W wyjątkowych wypadkach pozostaje przy życiu jako osobnik całkowicie pozbawiony świadomości, czasem nawet ruchów.

inicjatywa lekarzy Pogotowia, a wykonanie zawdzięcza dobrej woli entuzjastów, przekonanych o celowości przedsięwzięcia i umiejących przekonać innych. Duże usługi przypadają Łódzkiej Komendzie Straży Pożarnej, a następnie Łódzkiemu Zakładowi Wetniam, które kilka miesięcy temu przystosowały drugi samochód również marki Nysa dla potrzeb służby reanimacyjnej. Wyposażono też wozy w aparaty do prowadzenia mechanicznego oddechu, przenośne zestawy tlenowe, aparaty „Ambu”, laryngoskopy, aparaty do przetaczania płynów krwiozastępczych, narzędzia chirurgiczne i zestawy do intubacji. Środki farmakologiczne, którymi nie zawsze dysponują szpitale, uzupełniają wyposażenie karetek „R” zwanych popularnie „erkami”. Warunkiem ich pełnej funkcjonalności jest jednak zespół, który powinien składać się z dwóch lekarzy (także sanitariusza) specjaliści — anestezjologa i internisty.

Anestezjolog — lekarz zajmujący się wszystkimi czynnościami związanymi ze znieczuleniem jak również prowadzeniem chorego przed operacją, w trakcie jej trwania i po zabiegu. Anestezjolog zajmuje się także zapobieganiem wstrząsowi (szokowi) i walką ze wstrząsem czyli zespołem groźnych objawów chorobowych występujących w następstwie ciężkich urazów mechanicznych lub cieplnych. We wstrząsie następuje upośledzenie najważniejszych czynności życiowych, szczególnie krążenia krwi i oddychania.

Nie mamy ich wielu w Łodzi, a w ogóle mało w kraju. Jest to specjalność bardzo jeszcze skromnie reprezentowana, a w praktyce terapeutycznej niezwykle odpowiedzialna i w równej mierze obciążająca psychikę lekarza. W warunkach naszego miasta anestezjolog, który podjął dyżury w zespole reanimacyjnym pracując jak w „transie” dzieląc czas pomiędzy szpitale i kliniki, z którymi są etatowo związani, w których pełnią także ostre dyżury (przebiegiem 10 — 12 dobowych dyżurów w mieście). Stworzenie zespołu reanimacyjnego

zrewolucjonizowało w pewnym sensie lecniczo-łódzkie, które musi być przygotowane do kontynuowania intensywnej terapii w oddziałach szpitalnych. Tu już nie wystarczyła sama pooperacyjna walka ze wstrząsem. Te będą zawsze potrzebne na „użytek wewnętrzny” zwłaszcza takim oddziałom jak kardiologia czy neurochirurgia. Chodzi o stworzenie oddziałów reanimacyjnych i taki w Łodzi zorganizowano już przy II klinice chirurgicznej w szpitalu im. Sterlinga, drugi organizuje się w szpitalu klinicznym im. Barlickiego. Dwa następne powstaną w szpitalach miejskich — im. Pirogowa i im. Jonschera. Istnieje również załączek oddziału reanimacji kardiologicznej w szpitalu im. Madurowicza.

Reanimacja przeobraziła izby przyjęć. Dziś każda z nich posiada punkt reanimacyjny wyposażony co najmniej w tlen i podstawową aparaturę do kontynuowania akcji ratowniczej rozpoczętej przez zespół karetki reanimacyjnej. Potrzeby w tym zakresie idą dalej. Chodzi tu o zorganizowanie specjalnej karetki reanimacji kardiologicznej. Już nie stworzonej dzięki Straży Pożarnej czy zakładów pracy zasobnych w gotówkę i społeczny aktyw. To musi przyjąć formy planowego rozwijania usługowości służby zdrowia na gruncie postępu wiedzy medycznej i nowych środków ratowania życia i zdrowia ludzkiego. Pozycja anestezjologa staje się czołową i resort będzie musiał przemysleć formy szkolenia specjalistów już w toku studiów medycznych. W ostatniej reformie studiów miejsca dla tej specjalności nie znalazło, a szkoda.

Łódź znajduje wyjścia nawet w najtrudniejszych sytuacjach, czego dowodem jest obsadzenie funkcji kierownika Zakładu Anestezjologii i Reanimacji AM przez samodzielnego pracownika naukowego — anestezjologa z Poznania. Ale wciąż otwarty jest problem szkolenia lekarzy anestezjologów. Łódź ma ich tylko 30, a potrzeba dwukrotnie więcej.

Stale wzrasta ilość nagłych zgonów spowodowanych zawałami serca, wypadkami komunikacyjnymi, wypadkami przy pracy, utonięciami, wylewami krwi do mózgu, zatruciami, oparzeniami, porażeniem prądem. Postępowanie reanimacyjne trzeba w każ-

dym z tych wypadków podjąć na miejscu wypadku. Jeżeli czynności przywrócenia oddechu i krążenia podejmuje się natychmiast po rozpoznaniu śmierci klinicznej (laik pozna po zaniku tętna i oddechu, rozszerzonych źrenicach i związaniu ciała) można aż w 40% przypadków odwrócić proces umierania.

I tu dochodzimy do drugiej strony reanimacji — przygotowania społeczeństwa do pomocy przedlekarskiej. Dyspozycje nasze — niejako narodowe — do udzielania porad „lekarskich” są wręcz szokujące. Kiedy jednak dochodzi do konieczności okazania prawidłowej pomocy — stał się jemy bezradni. Znajomość zasad skutecznego ożywiania oraz praktycznego ich stosowania musi być powszechna i obejmować powinna ogół społeczeństwa.

Pierwszej pomocy powinni udzielać już na miejscu wypadku przypadkowi świadkowie — przeszkoleni funkcjonariusze MO, kierowcy, ratownicy, młodzież szkolna i pracownicy zakładów pracy, bhp-owcy i ORMO-wcy. Zadaniem Pogotowia Ratunkowego jest przyjęcie już rozpoczętej akcji i prowadzenie w sposób nieprzerwany w czasie transportu, aż do momentu przekazania chorego do punktu reanimacyjnego izby przyjęć dyżurnych szpitali.

Kilka lat temu — ówczesny dyrektor Stacji Pogotowia Ratunkowego w Zgierzu zdobył duży sukces przywołując aparat „Ambu” i dużo nowości z ratownictwa. Metodę ożywiania — „usta do ust” i „usta do nosa” — przywracając oddech propagował w szkole i w telewizji. Gdzie mógł tam niosł kaganek oświaty pierwszej pomocy. Ale ludzie wiedzieli, że od pierwszej pomocy jest pogotowie a nie pocałunek.

Przed dwoma blisko laty Wojewódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego w Zgierzu zdobyła duży sukces przywołując aparat „Ambu” i dużo nowości z ratownictwa. Wypożyczyla go w ambasadzie norweskiej i przez 2 tygodnie przeszkoliła pracowników wszystkich stacji powiatowych PR. Bo gdzie jak gdzie, ale w województwie, które dopiero w tym roku otrzymało karetkę reanimacyjną — pierwszą ratunek to naprawdę kwestia życia lub śmierci. Film jest instrukcją dla laików. Prosty, przejrzysty, sugestywny. Do niego wystarczy pogadanka — komentarz, a potem pokazy praktyczne na fantomie. Aż dziw, że nasza

Oświatówka nie pokusiła się o naśladowanie, zwłaszcza że ma na swoim koncie piękne filmy medyczne, znane za granicami kraju. Amerykański film z norweskiej ambasadzie trzeba było oddać ale przekonanie o konieczności szkolenia chociażby wybranych grup społeczeństwa pozostało i wojewódzka stacja zaczęła w tym roku od szkolenia ratowników wodnych w umiejętnościach reanimacyjnych — przywracania oddechu metodą „usta do ust” i masażom zewnętrznym serca.

Podstawowym zabiegiem w ożywianiu jest masaż serca wykonywany pośrednio przez rytmiczne uciskanie nasadą dłoni w ścianę klatki piersiowej ponad sercem. Drugim zabiegiem podstawowym jest przywrócenie oddechu przez zastosowanie metody „usta do ust”, (ratujący zaczerpnąwszy powietrze wdmuchuje je w usta ratowanego).

Szkolenie społeczeństwa w tym zakresie jest głównym celem łódzkiej służby zdrowia — kierownictwa wydziału zdrowia, Pogotowia Ratunkowego i Sekcji Ratownictwa Łódzkiego Towarzystwa Anestezjologów. Jak jednak się do tego zabrać? Kto ma to robić i na jakich zasadach? Grupy zawodowe, które jako pierwsze powinny zdobyć umiejętności podstawowej reanimacji to milicja, straż pożarna, uczniowie przemysłowych szkół zawodowych, zespoły sanitarne zakładów pracy itd. Techniczna strona szkolenia jest prosta, ale powstaje pytanie kto ma całą akcję finansować. Potrzebny jest zespół wykładowców, sale i sprzęt.

Idea powinna jak najszybciej stać się praktyką. Mamy organizacje i instytucje o charakterze oświatowo-szkoleniowym, że wymienię PCK i TWP. Jest pełen inicjatyw ŁDK i MDK, są fundusze (duże) na cele bhp w zakładach pracy. Proponuję zespolic wysiłki i utworzyć drogę codziennej praktyce reanimacyjnej.

Anestezjologiem nie może być każdy, lekarzem też nie, ale ratownikiem-reanimatorem — tak i dobrze będzie jeżeli znów Łódź i województwo pierwsze w kraju podejmą trud przygotowania społeczeństwa do roli sojuszników medycznej praktyki.

ZOFIA TARNOWSKA

Kibic prawdę ci powie

Często na różnego rodzaju spotkaniach wbiegająca na boisko drużyna witają gwizdy kibiców. Zespół zawiódł ich zaufanie, w poprzednim meczu nie odniósł zwycięstwa, na które kibice z utęsknieniem czekali. Drużyna ponosi karę, gdyż zawiódła

swoich miłośników. Jaki jest tego efekt?

Gwizdy i dezaprobata wytrącały z równowagi znaczną część zespołu, kilka instrumentów w wielkiej orkiestrze zaczęło fałszować. Drużyna przegrywa kolejny mecz.

Ogromny jest wpływ widzów na grę aktorów, ogromny jest wpływ kibiców na grę zespołu. W obu przypadkach aktorzy widownia muszą po prostu czuć przychylność publiczności, reagując na każdy ich gest, udając zagranie, wywołując zamieszanie, rzucając klaski i wywołując na trybunach wybuchy radości. Dlatego też sportowcy największe sukcesy odnoszą z reguły przed własną publicznością, na własnym terenie.

Wielokrotnie zastanawiałem się nad wzajemnym powiązaniem kibica z jego zespołem. Z reguły kontakty te ograniczają się do oglądania jednych przez drugich i w zależności od wyników bądź nagradzania oklaskami, bądź wyrażania gwizdami nieprzychylności. Szczegółowe informacje o ulubionej drużynie dostarcza w części prasa, jednak to najbardziej intymne, najbardziej kibica interesujące szczegóły przekazywane są od ucha do ucha na zasadzie plotki. Mówi się przeważnie o ogromnych sumach pieniędzy, na które nawet starszyzna Onasie nie mogłoby sobie pozwolić, porusza się problemy metrażu mieszkania zajmowanego przez tego czy innego zawodnika. Wiele miejsca poświęca się z reguły tzw. kup-

nu nowych zawodników, które to transakcje mają rzekomo uratować zespół przed całkowitą degeneracją. Plotka w zależności od sytuacji danej drużyny w tabeli przybiera rozmaite rozmiary. Jeżeli zespół jest wysoko, pełnia radości przesłania jego braki, jeżeli jednak lokata zagraża bytowi drużyny w lidze, plotka przybiera ogromne rozmiary, a braku fantazji nie można Polakom zarzucić.

Wszystko to potęguje nastroj wrogości do ulubionego niegdyś zespołu, szuka się winnych i z reguły się ich znajduje. Najczęściej pada ofiarą trener, czasami ten czy inny zawodnik. Wytwarza się specyficzna atmosfera spowodowana właśnie przez kibiców, cierpi na tym

cały zespół i oczywiście najwięcej sami kibice, którzy tracą zdrowie i nerwy patrząc jak zdenerwowana drużyna partaczy mecz z meczem.

Stanowisko kibica wobec drużyny ma dla niej kolosalne znaczenie. Czy jednak zarządy naszych klubów czy nią cokolwiek, by tego kibica zbliżyć do zespołu? Z pewnością nie. Kiedyś działały niechlubnie tzw. Kluby Kibiców, które z biegiem czasu przekształciły się w skupiska prywatnych menażerów i w końcu musiały ulec likwidacji. Tak więc w tej chwili kibice są dla działaczy tylko osobami płacącymi za bilet na widowisko sportowe i na tym ich rola się kończy. Efekt tego przedstawiłem na wstępie.

Sprawę radykalnie zmieniłby fakt zorganizowania spotkań kibiców z ulubionymi zawodnikami, umożliwienie jednemu i drugiemu wypowiedzenia się w bezpośredniej rozmowie, wytłumaczenia się ze złej gry, ze złego samopoczucia. Łódzkie kluby dysponują z reguły obszernymi lokalami, w których te spotkania mogłyby się odbywać. Pożytek widoczny dla obu stron. Zapobiegłoby się wielu niepotrzebnym plotkom, można by było stworzyć atmosferę jaką potrzeba jest drużynie i jaka potrzebna jest kibicom. Rzecz w tym by tylko ktoś zaczął. Nie za wsze będą to spotkania przyjemne dla jednej czy drugiej strony, ale z pewnością zamierzony skutek osiągną.

MIECZYSLAW STOLARSKI

str. 3

MIROSLAW

MIESZCZANKOWSKI

Mężczyzna jadący w trzecim wagonie za elektrowozem zapłacił za bilet, bilet schował do portfela i korzystając z wolnych miejsc położył się na ławce i przykrył twarz szalikiem. Mężczyzna nie wie nawet, że pociąg, którym jedzie, nosi numer 24-01. Nie wie, bo i po co?

Pociąg 24-01 wyjechał z Zembrzydowic o godzinie szesnastej. Na Węgrzech pogoda była wspaniała, w Czechosłowacji trochę się pogorszyła, w Polsce była już całkiem zła. Pociąg biegł przez mgłę, deszcz i znowu słońce, od bardzo wielu godzin.

Z północy na południe zdążył inny pociąg towarowy 373-61. W odległości dwudziestu minut za nim pędził ekspres relacji Warszawa — Praha. Na bocznicę w Łodzi nie spiesząc się specjalnie formowano skład odchodzący do Skierniewic. Wszystkie te pociągi powinny minąć się w Kolaszkach o godzinie zero trzydzieści dwie. Pociąg osobowy z Łodzi był pociągiem skomunikowanym z obu ekspresami.

Sytuacja była normalna, drogi i czas przebiegu wymienionych jednostek, skalkulowane i obliczone na pół roku wcześniej, znajdowały odzwierciedlenie w oszkłonych tablicach pokrywających niemal połowę ścian wszystkich nastawni na trasie, w tym także nastawni w Kolaszkach.

Sytuacja była normalna, z tym może wyjątkiem, że prawie nigdy nie zdarza się, by pociąg towarowy poprzedzał ekspres. Informacja o tym niecodziennym wydarzeniu była pierwsza, jaką usłyszał przejmujący zmianę Longin Derwisński — dyżurny dysponujący.

— 373-62 na rozkazie szczególnym, towarowy. Sprawdź potwierdzenie — jego poprzednik wskazał plombowany na grzbiecie brulion.

— Co jeszcze?

— Reszta bez zmian. Przykro mi, że wyciągnąłem cię z łóżka. Nie wiem, co się stało, nagły ból żołądka i na wizji tak jakos, jakbym patrzył w pełne słońce.

— Zadzwoń po lekarza? — powiedział dyżurny.

— Nie trzeba, to zaledwie parę kroków, przejdę. Aha! I na wykonawczej dyżuruje ten młody człowiek, jak mu tam...? Pamiętają o tym.

— Będę pamiętał. Idź już.

Przy stole operacyjnym, podobnie jak przed minutą, siedzi pięciu ludzi. Przed sobą mają długie na całą ścianę okno, za plecami sterujące w sufit dźwignie zwrotnic.

Cisza. Co chwila któryś z mężczyzn odwraca się wraz z krzesłem i krótkim ruchem wygasza terkot brzęczyka.

— Potwierdzenie — informuje głośno, i znowu cisza.

Nic bardziej złudnego niż owe rzadkie minuty ciszy w nastawni, przetykane rżeniem brzęczyków, szmerem energii w przewodach i postukiwaniem urządzeń automatycznych.

Znowu brzęczyk — tym razem telefonu i od wschodu narasta łoskot.

— Osobowy ze Slotwin na dwójkę — mówi dyżurny dysponujący — Przyjmij (to do dyżurnego peronowego) i do megafonowego: — Możesz zapowiedzieć.

Wszyscy wiedzą tu wprawdzie, co do nich należy, ale tak już jest, że w nastawni nic nie może się zdarzyć bez wiedzy i woli dysponującego.

Łoskot narasta, jest tuż, tuż... Po chwili słychać tylko syk i szum pary. Teraz trze-

ba młecz nie łała słuch, by słyszeć odrywającą się z łącznicy kolejną blaszkę.

— Awizowany 33-06. Zamawiaj.

— Pociąg 33-05 z Zieloni.

Na tablicy powtarzająca wciąż palą się czerwone światelka kopiujące wiernie układ świateł semaforowych.

Minęła dwudziesta sekunda służby.

— Rokiciny zgłaszają 24-01 — międzynarodowy.

— Zabezpiecz drogę przejazdu do Rogowa.

— Rogów. Pociąg międzynarodowy 24-01 z Rokiciny?

— 61-101 z Będzina po dwójkę.

Na centralce opadły wszystkie cztery blaszki.

— Towarowy 373-61 odszedł z Rogowa.

Cisza przysła. Ciszy już nie ma. Teraz jest czas na działanie. Rozmowa na dwa albo trzy telefony jednocześnie nie należy do rzadkości. Światelka na powtarzaczach wyskakują szybko. Jeszcze szybciej opadają uparcie przyklejone blaszki łącznicy.

— Towarowy, to ten na rozkazie specjalnym — mruczy dysponujący...

— Boksyt — odpowiada dyżurny nastawnicy i dodaje lakonicznie: — Chyba jakas huta ciągnie na rezerwie.

— Nastawnia wykonawcza? 24-01 po dwójkę na Rogów.

— Zrozumiałem.

Dzwonek telefonu jest niecierpliw, wafczy bez przerwy, na niezwykle wysokiej świrującej w uszach tonacji. Obok aparatu błyska raz po raz silne białe światelko.

— Muszę rozmawiać natychmiast — Informuje jeszcze nie znany rozmówca.

Telefon z migaczem ma pierwszeństwo przed rozmowami z centrali. Zresztą wszystkie numery od dawna są zajęte.

— Kolaszki, dysponujący. Co jest?

— Rogów. Zameldowano mi pęknięcie szyny na odcinku międzyodstępowym. 61-101 szczęśliwie przeszedł.

— Przyjąłem.

— Nastawnia wykonawcza? Międzynarodowy z dwójki na piątkę, pęknięcie szyny.

— Międzynarodowy z dwójki na piątkę — powtarza nastawnicy, ale dyżurny już nie słucha. Teraz w terminie jednej minuty musi podjąć decyzję, a sytuacja jest taka: jeśli międzynarodowy wejdzie na piątkę, to należy zatrzymać towarowy 373-61 i pędzący za nim ekspres też — jeżeli międzynarodowy 24-01 nastawnia zdąży potem przesunąć na tor czwarty, oba pociągi miną się bezkolizyjnie. Rzecz w tym, że międzynarodowy przesunąć można na inny tor dopiero na rozjeździe, to znaczy kiedy przejdzie 1000 metrów. Nie wykluczone, że w tym samym czasie na

odcinku owego tysiąca metrów znajdzie się pociąg towarowy, który rozjazd już minął. Owe tysiąc, tysiąc dwieście metrów, to odcinek między semaforami, nie ma więc szans na zatrzymanie żadnego z owych pociągów. Decyduje czas potrzebny obu jednostkom na przejechanie tysiąca metrów. W czasie oznacza to zaledwie sekundy.

Brzęczyk systemu blokującego. To nastawnia melduje ułożenie drogi przebiegu. Kilkanaście sekund wcześniej dyżurny osobście przycisnął dwa spośród pięćdziesięciu kluczy i przestawił zwrotnicę. Dźwignia semaforu dała się przestawić, to znaczy, że droga przebiegu ułożona została przez nastawnię wykonawczą prawidłowo. Na powtarzaczach nad cyferką „pięć” pali się zielone światelko.

Minęła pięćdziesiąta sekunda. Pięćdziesiąta sekunda z owych dwóch minut brakujących do godziny 0.32.

Stanisław Marczyk — zwrotniczy sprawdzający tor przed wjazdem każdego pociągu — wbiega do nastawni pędem.

— Na piątce stoi jakiś niezgłoszony osobowy — oznajmia zadyszany.

Dysponujący rzuca papierosa, który wypalił mu się między palcami. Tylko tego jeszcze brakowało! Przecież międzynarodowy — 24-01 ma wolną drogę! Za pomyłką z osobowym ktoś odpowie, ale to później...

— Stop na całej długości piątki.

— Rogów? Stop dla 373-61! Stop dla ekspresu Warszawa — Praha! Stop! Stop!

Wskutek gwałtownego hamowania pasażerowi w trzecim wagonie za elektrowozem szalik zsunął się do połowy twarzy.

— Rogów? Przyjmiesz natychmiast osobowy numer 49-73.

— Nie przyjmę, wszystkie tory zajęte.

— Weź go na bocznice albo gdziekolwiek, muszę przyjąć ekspres. Dyżurny dysponujący już nie słucha potwierdzenia rozkazu. Chwyta mikrofon megafonu, ktoś przesuwa monetkę wzmacniacza.

— Polecenie specjalne! Pociąg numer 49-73 natychmiast odjedź z toru numer pięć. Przeciagły jęk i grzechot przechodzą w łoskot, oddalają się, milkną.

Przeszedł. A mogło być źle. Znowu łoskot. Na zajętym przed chwilą torze powoli hamuje pociąg międzynarodowy. Pod semaforem dworcowym czeka towarowy na rozkazie szczególnym. W Rogowie stoi ekspres do Praги. Tych pociągów zatrzymać nie wolno, nie tylko dlatego że są to pociągi pierwszej kolejności. Lokalizowanie ekspresu tuż za wlokącym się powolutku składem osobowym mija się z celem. Oba pociągi przybyłyby wtedy do stacji przeznaczenia w tym samym czasie. Lokalizuje się je zatem odwrotnie. Dopiero kiedy przemkną pociągi wyższej kolejności, na tory wmanewruje się składy osobowe. Dlatego zatrzymanie ekspresu oznacza zakłócenie na całej magistrali od Bałtyku po Tatry.

Minęła minuta i trzydzieści sekund.

Za oknami ekspresu znowu pędzi noc, ta sama, która otula nastawnię, ale jakże inna.

W świetle dworcowych lamp tkwi dyżurny peronowy. Nie wróci do budynku prędkiej, nim znikną mu z oczu ostatnie światła pozycyjne. A przecież wraca i mówi:

— Człowiek na stopniu.

— Który wagon? — pyta dysponujący.

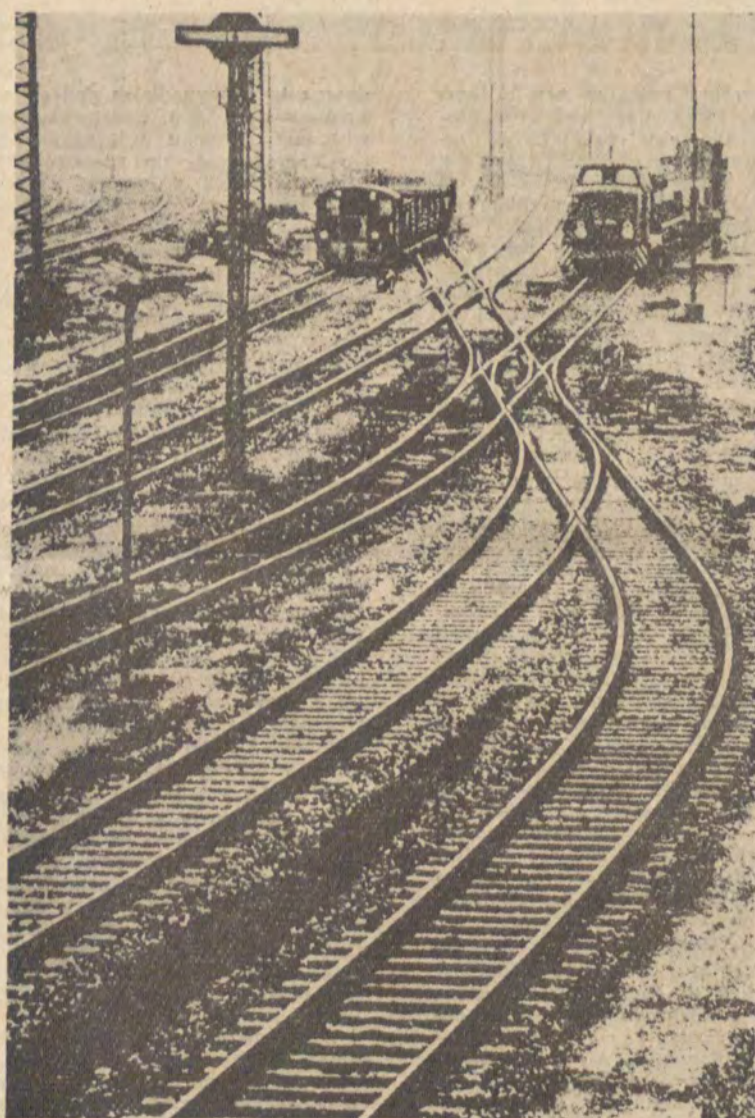
— Piąty.

— Wykonawcza, uważaj: piąty wagon w pośpiesznym do Rogowa, człowiek na stopniu. Zatrzymaj..

— Nie dojechałby, no, nie wytrzymałby przy szybkości ekspresu do najbliższej stacji. Nie wytrzymałby przecież. — Dyżurny

Dalszy ciąg na str. 8

Dwie minuty PODROŻY



JAN BĄBIŃSKI

Kuszenie TURYSTÓW

Co najbardziej we Francji denerwuje? Napiwki. Czy zajrzałeś do kina, na koncert, wpadłeś na małe wino do kafejki, wszędzie wysuwała się natychmiast czyjaś owłosiona łapa po napiwek. Nigdy nie mogłem pozbyć się uczucia, że ktoś mnie kiwa, że płacę dwa razy za tę samą przecież usługę, że ktoś robi ze mnie bałwana. Napiwek rzecz święta, monsieur, należy się. Jak pan nie da, to odstawię taką awanturę, że się panu be bechy wywróci. My tu w takich sprawach nie żartujemy... Coś mi się wydaje, że ponijającego obyczaju, który zwie się „pourboire”,

Francuzi nie zarzuca nigdy. Zbyt ubóstwiają rozkoszne laskotanie centymów na dłoni.

Gdzieś biednemu szarakowi do ekskluzywnych hoteli Ritz, Crillon, gdzieś do luksusowych apartamentów u Raphaella... Tam od złota aż kapie. Ale nikt też nie ujdzie przed natarczywą dłonią posługaczek, pomagaczek, zmywaczek, windziarzy, odzwiernych, pokojówek i całej armii chytłych liżusów, którzy nic, tylko łamią sobie głowę, jakby z gościa wydusić jeszcze parę franków. Mnie to nie groziło. Zatrzymałem się w internacie przy szkole na Batignolles, gdzie na dziedzińcu raduje oko wzruszający w swej prostocie pomnik dwójga polskich dzieciaków. A na postumencie napis — „A la France hospitaliere” — gościnnej Francji. Ten stylowy budynek, który gościł niegdyś w swych murach pielgrzymów i wygnańców, przyjmuje teraz rzuconych na parzysty bruk polskich studentów i stażystów. Szczęśliwym trafem udało mi się zdobyć łóżko za parę franków. To nic, że internat był zapuszczony, zaniedbany, popekany i nadgniły. Tak jest stary i dziwny, że wszystko w nim już się niemal rozlatuje. Klucze nie

pasują do zamku, zamek wisi na sznurku, a toalety zakonspirowane na wąskich, ciemnych do tego tak poskręcanych schodach, że jeden fałszywy krok, a leciś na łeb do samej piwnicy.

Głupstwo, najważniejsze, że za parę franków był dach nad głową, a to mię wybawiło z nie lada tarapatów.

Z Batignolles tylko kilkaset metrów na Pigalle i Montmartre. Pognałem więc, żeby nie tracić czasu do „Moulin Rouge” i do wciąż modnego „La Lapin Agile”. W „Lapin” wyspecjalizowano się w śpiewie folklorystycznym, po części już zapomnianych piosenek dawnego Motmartu. W „Moulin” jak przed laty króluje kankan. Na gość we francuskich kabaretach, nawet tych okrzykanych strip-teasowych, więc w „La Boule Noire” i „Crazy Horse Saloon” bardzo spowszechniała i na niki większe go wrażenia już nie robi. Te inne, „Tabarin”, „Erotika” i „Le Florida” też nikogo nie mogą przyprawić o dreszcz podniecenia. Największym chyba wzięciem cieszy się „Crazy Horse”, bo wypracował własny styl „a la western” i szczy ci się najładniejszymi dziewczętami,

mi, które rozbierają się w kowbojskim saloonie przy świetle naftowych lamp. Pigalle nie te co przed wojną. Nagości nikomu już imponować się nie da. Gole nogi, choćby najdłuższe, do tego stopnia stanęły, że w spokojnym paryskim wydaniu zwyczajnie Anglosasów nudzą. Oni mają u siebie „at home” coś znacznie pikantniejszego.

Dużo ciekawszy, bo oryginalniejszy, jest sam Montmartre, gdzie jaśnieją na niebie bizantyjskie kopuły Sacre Coeur.

Na szczyt góry prowadzi Rue Lepic. Uliczka jest stroma, wąska, obstawiona sklepami, straganami, stoiskami, budkami, czym się da. Młode dziewczęta w fikuśnych fartuszkach, w białych czepkach na głowie częstują przechodniów żywą lub smażoną rybą, podają ślimaki, żaby, raki, homary, coś niby węże niby żmije, ale najwięcej podają krabów, jarzyn i owoców. Tłok i ścisł niesamowity. Wprost na ulicy smaży się karp na patelni, dochodzi kurczę na rożnie. Co za zapachy, drażnia, że ślinka cieknie, tu ciasteczko, tam rolmopsy, filety, salatkę, konserwy i wino.

Wiem, że w mieszczańskej ka-

mienicze pod numerem 56 mieszkał van Gogh, z wyglądu Wiking w tym najdzikszy, wargowski wydaniu. Tu go przygnało na Górę Męczenników, gdy miał 33 lata czyli był w wieku Chrystusowym. Tu się kochał, zapijał prawie na śmierć, tu, jak Toulouse Lautrec, zdradzał go modelki. Tu mieszkał też i malował Don Pablo Picasso de Segovia. Kamieniczki zostały. Mają wewnątrz ozdobne, z mistrzostwem kute w żelazie balustrady i różne rodzajowe maiowidła w korytarzach.

Toulouse Lautrec i Pigalle.

Lautrec zaglądał do „Moulin Rouge” każdego wieczora. Zaglądał też do innych, jemu tylko znanych saloników do „Boites de Nuit”, których i dziś pełno na wszystkich uliczkach od placu Clichy do placu Pigalle. Obsługuje cię za wąskimi drzwiami ze sztucznym, przylepionym do twarzy uśmiechem, ze zdawkowym mer-ci na ustach. To uprzejmość na sprzedaż, wyrachowana, pełna ukrytej ironii, żeby nie powiedzieć z trudem powstrzymanej pogardy.

W tych małych, dobrze ukrytych lokalach każdy znajdzie czego pra-

WOJCZY- ZNIE DAWIDA SASUNU

Dalszy ciąg ze str. 1

kultury ogólnoludzkiej, nie występują w tak niemal namacalny sposób jak właśnie tu w Matanadaranie.

Poczynając od XI wieku, ciągle najazdy wrogich sił na Armenię zmusiły wielu Ormian do opuszczenia ojczyzny i szukania schroniska pod cudzym niebem. Rozsypali się więc po całym świecie zachowując niejednokrotnie przez długie wieki odrębność obyczajów i znajomość ojczystego języka. Nic też dziwnego, że i w Polsce znanej z tolerancji, osiedliło się wielu Ormian, którzy znaleźli drugą ojczyznę. Ślady tych wiecznych kontaktów bez trudu można znaleźć właśnie w Matanadaranie. Sporo tu poloników, nierzadko dokumentów zaopatrzonych w królewskie autografy no i oczywiście książek, najczęściej drukowanych we Lwowie. Można tu znaleźć również sporo średniowiecznych opisów miast polskich dokonanych przez armeńskich podróżników, można dowiedzieć się, że pierwsza armeńska drukarnia na emigracji powstała w 1512 roku w Wenecji, a w sto lat później, a ściślej mówiąc w 1616 roku, we Lwowie.

Wśród rękopisów znajdują się również liczne przekłady dzieł naukowych i literackich prawie z całego świata.

Z przekładów polskich najstarsza jest anonimowa opowieść pt. „Wielkie zwierciadło”. Ale jakże to skromnie wygląda już w V wieku, jak na przykład „Historia Armenii”, czy też „Życia Masztoca” twórcy armeńskiego alfabetu. Powszechną uwagę zwraca rękopis Awicenny, a przede wszystkim fantastyczna, jedna z najbogatszych na świecie kolekcja miniaturowych niepowtarzalnych arcydzieł, którym często anonimowi twórcy poświęcali całe życie.

Po zwiedzeniu Matanadaranu przeglądam książkę pamiątkową. Byli tu ludzie z całego świata, a wśród nich wielu pisarzy. Odnajduję autografy Awetika Isaakiana, Láslo Erdosza i Pablo Nerudy, a pod datą 21.10.1927 czytamy: „Matanadaran wzbogacił mój umysł. Jestem szczęśliwy” — Henri Barbusse.

Nieco dalej znajduję wzruszające wyznania wpisane w czerwcu 1935 roku: „Tak wspaniałe są te rękopisy, skarby poezji i prozy, że z całego serca wstydzę się nieznajomości rodzimego języka, która nie pozwala mi przeczytać i być może przelo-

żyć na angielski choćby jednej z tych książek — William Saroyan”.

Nazajutrz o świcie ruszamy w nieznane. Gospodarze nie chcą nam zdradzić celu wyprawy. Dwa czarne „Zimy” suną po gładkim asfalcie, wznosząc kołami obłoczki kredowego pyłu, który cieniutką warstwą pokrywa tu wszystko. Po obydwu stronach drogi rozpościerają się pofalowane pola usiane głazami i kamieniami tak gęsto, jakby przed chwilą stoczyła się lawina z gór rysujących się na horyzoncie. Ani śladu zieleni, ani jednego żółcia trawy. Nieliczne przydrożne drzewa wyglądają jak posypane popiołem. Obok mnie siedzi Giework Emin, utalentowany poeta, który niedawno bawił w Polsce. Pytam go o to, kiedy ostatni raz padał deszcz. Okazało się, że w tym roku jeszcze nie padał, a już jest wrzesień. Zbliżamy się do jakiejś osady i nagle, ni z tego ni z owego przypominam sobie fragment książki, która mi wpadła do rąk tuż przed samym wyjazdem z Polski.

„...Kraj to obecnie zupełnie pusty, dróg w nim nie ma żadnych a siedziby ludzkie ciągną się tylko sznurami wiosek wzdłuż brzegów Kury i Araksu. Straszny to kraj! Wnętrza jego nikt nie zna, ale wszyscy, strachem zabobonnym przejęci, opowiadają o tych wielkich przestrzeniach, kropli wody słodkiej pozbawionych, o rojach czy hałach na zdobytych skorpionów, pajaków i żmij jadowitych, o skwarach zabójczych, a nawet — o bandach rozbójników, choć tych nigdzie tu nie brak”.



Zwracam się w stronę Emlina i cytuję mu z pamięci to co o Armenii napisał kiedyś znany polski podróżnik, Edward Strumpf, w swoich „Obrazach Kaukazu”.

— Kiedy to napisał? — pyta Emin.
— Dokładnie nie pamiętam, ale z całą pewnością w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Emin, który jest moim rówieśnikiem uśmiecha się.

— Niestety, tego okresu nie pamiętam, ale jeśli napisał to Polak, to z pewnością tak było. Spójrz, we wszystkich domach, które mijamy, okna są pokryte gęstymi kratami. Dziś to już tylko tradycja, ale na pewno nie pozbawiona podstaw. A poza tym, przygotuj aparat. Za chwilę znajdziemy się na równinie i będziesz mógł zrobić zdjęcie Araratu.

Samochód pokonuje jeszcze jedno wzniesienie i już jesteśmy na otwartej przestrzeni. Zdjęcia jednak nie było. W powietrzu unosiła się lekka mgła, która zacieriała kształt gór woalem. Wprawdzie oba stożki szczytów pokryte wiecznym śniegiem lśniły w słońcu jak srebrne helmy rycerzy, ale na zdjęciu nic by z tego nie wyszło. Pół godziny temu, kiedy wyjeżdżaliśmy z Erewania, Emin pokazał nam kamień, na którym podobno car Aleksander przesiedział cierpliwie dwa dni w oczekiwaniu na lepszą widzialność. Niestety, Araratu nie zobaczył. Spakował manatki i wrócił do Moskwy.

My mieliśmy więcej szczęścia. Zobaczy-

liśmy Ararat i to w całej kamiennej okazałości. Doprawdy czasami nie chce się wierzyć, że ta biblijna góra, którą od stolicy Armenii dzieli odległość 40 km, leży za nieszczęsną granicą, tam, po stronie tureckiej. Nie chce się wierzyć, bo jej obecność wyczuwa się niemal na każdym kroku.

Jest taka chwila, tuż przed samym zachodem, kiedy mieszkańcom Erewania wydaje się, że Ararat pochyla się w stronę miasta, jakby chciał przyjrzeć się lepiej życiu, którym tętni nowa stolica.

Zbliża się południe. Opony piszczą na wirażach, a jednak w powietrzu wyczuwa się świeży, niemal chłodny powiew. Dwa szczyty Araratu świecą teraz jak mleczne żarówki zawieszone w próżni. Pytam Emina.

— Co Turcy na to, że macie w herbie górę leżącą na ich terenie.

— A wyobraź sobie, że kiedyś złożyli w tej sprawie protest.

— No i co?

— Nic. Po prostu nasz minister spraw zagranicznych zapytał, czy księżyc, który jest ich godłem, Turcja również uważa za swoją wyłączną własność.

Ciągle jeszcze jedziemy kamienistym pustkowiem. Wydaje się nawet, że głazów jest coraz więcej.

— Emin, dokąd ty nas wieszysz, na miłość boską? Skąd tu tyle kamieni?

— Jak to, nie wiesz? Przecież kiedy dobry Bóg stworzył świat, chciał wszystkim narodom dać dobrą ziemię. Wziął więc do rąk ogromne sito i zaczął przesiewać grude po grudzie, a kamienie wysypywał w jedno miejsce. Właśnie to, które przypadło w udziale Armenii.

— Jeśli się nie mylę, to dobry Bóg was nie skrzywdził i razem z kamieniami rzucił tu sporo miedzi, cynku, ołowiu, srebra, a nawet i złota?

— Tak, tego nie pożałował. Dał jeszcze ponad to piękny kamień tuf, na którym oparliśmy nasze budownictwo.

— A czego pożałował?

— Wody i dobrych sąsiadów.

— A więc jednak nasz pocztowy przyrodnik, Strumpf, miał rację?

— Z pewnością, tylko że z wodą dajemy sobie radę, a z sąsiadami nie zawsze... Skarby naszej ziemi od wieków ściągają tu hordy najeźdźców. Po drodze, którą teraz jedziemy, w dolinę Araksu, nieraz szły wojska rzymskie, perskie, arabskie, mongolskie i tureckie.

— Jednym słowem niewesoła historia.

— Podobna do waszej — dodaje Emin.

Pochłonięty rozmową nie zauważyłem, że krajobraz zmienił się. Po obu stronach drogi rozciągały się teraz winnice, świeże tą soczystą zielenią, którą może wydobyć z ziemi tylko woda. Istotnie, tu wody było w bród. Wąskimi kanałami ściekała wzdłuż pól, wypełniała nawet przydrożne rowy, obmywając korzenie strzelistych topoli, które chronią winogrod od ostrych powiewów wiatru. A nieco dalej otoczyły nas wspaniałe brzoskwiniowe sady — duża sowchozu im. Abowiana w rejonie Oktoberian, do którego właśnie w gościnę przywieźli nas ormiańscy koledzy. Już po chwili błądziliśmy wśród cienistych alei, wdychając aromatyczne powietrze przesycone zapachem dojrzałych brzoskwiń, w miejscu, gdzie jeszcze przed kilkoma laty rozciągały się kamieniste, bezwodne pola.

Zmierzch zaczął już gasić barwy, gdy w tym samym sadzie przy stole rozstawionym pod gołym niebem, jeden z armeńskich przyjaciół wznosił taki toast:

— Dawno, dawno, temu, gdy na ojczyznę naszą spadło nieszczęście, wiele cór i synów Armenii musiało opuścić rodzinną ziemię i rozpocząć tułaczkę. Wtedy to właśnie, wy Polacy, wielu z nich przyjeżdżało po bratersku w swojej ojczyźnie. Wybaccie mi, że z tak wielkim opóźnieniem chcę wam za to dziś z całego serca podziękować.

IGOR SIKIRYCKI

(Fragment „Notatnika Kaukaskiego”, który ukazał się w br. nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

gnie, byle był hojny i umiał jak kiedyś Toulouse Lautrec trzymać język za zębami. Lautrec znał wybornie wszystkie sławne ongiś tan cerki z „Moulin Rouge”, więc Melinite, Cleopatre, Cri-Cri, Sautarelle, Camelie i jeszcze tuzin innych długonogich i chętnych dziewcząt, które nigdy nie odmawiały, gdy je prosił, by pozowały mu dłużej. Tan cerekki pozowały też gdzie indziej, w odmiennym nieco charakterze rosyjskim księciem panom i polskim hrabiom kresowym. Potem role się zmieniły. To książęta zaczęli usługiwać na zamówienie. Jeszcze krótko przed ostatnią wojną biali Rosjanie piali ochryplym basem w kafejkach na Pigalle „Woi-ga, Woi-ga”, grali na białajkach, śpiewali rzewnie i z lekką rozpaczą za utracenym carem, popem i chłopem, przede wszystkim za utracenym rublem.

Kręte uliczki, kamieniste, ciasno obudowane czynszówkami, z których na każdym piętrze zwisały misternie zdobione paryskie balkony, przypominające łoża w dawnych teatrach mieszczańskich. Pojedyncze wille, oddzielone od chodnika ogrodzeniem z żelaznych prętów i wąskim trawnikiem. Antykwariaty sklepy, z obrazami, gar-

mażernie, winiarnie, wreszcie na szczycie Montmartre'u u podnóża Sacre Coeur kwadratowy plac Ter tre. Jest niewielki, tak wszakże za tłoczony, że przejść nim na ukos w żadnym razie się nie da. Szta-lugi, szta-lugi, przy nich oni, artyści z Montmartre'u. Francuzi, ale też Hiszpanie, Grecy, Holendrzy, dużo Jugosłowian. Malarzy jest chyba dwustu, każdy ma swój kącik, swoje małe królestwo, swoją pozycję do ataku na klienta. A klienci przechadzają się pojedynczo, parami, grupkami, przychodzą tu pieszko, nadjeżdżają od strony Pigalle autami.

Turyści gapią się, oceniają, dają śmieją się na widok zarośniętych i brudnych malarzy, są wniebowzięte, tak właśnie sobie wyobrażały paryskich artystów. Pejzażysta odłożył właśnie pędzel, otarł rękawem usta, przystawił się do butelki i zaczął ssać długo i z napięciem, jak głodny cielak spuchniętą wymię. Znow otarł usta, zajrzał pod słońce do flaszki i z najdoskonalszą wprawą przystawił ją do ust ponownie. Na twarz wystąpiły jeszcze silniejsze wypieki, wprost gorzała płomieniem. No... kiwnął ręką i w tejże sekundzie

pryskoczył pomagier, złapał pustą flaszę, pognał z nią przez jezdnię do jednej z tych restauracyjek, w których starsi panowie w kamizelkach i pod krawatem grają w bilard, smarując długie kije białą kre-dą. Restauracyjek bez liku, w każdym domu jedna, a jeszcze bar na dodatek i dwie kawalerki.

Malarz znow chwytą pędzel, jest teraz dużo weselszy, jest rozpromieniony, sypie dowcipami, feroj-na łapie się pod bok, a cudzoziemcy patrzą w milczeniu, nie rozumiejąc ani słowa. Oszolomione damy wciąż jednak się uśmiechają, są zachwyczone, nie mogą od tych dryblasów wzroku oderwać, tak właśnie tu być powinno, byłoby nieszczęśliwe, gdyby było inaczej. Bractwo Świętego Pędzla na placu boju. Co rusz to ktoś skacze do baru, restauracji, sklepu, tu wszyscy się znają, wszyscy żyją pędzlem, winem i białym chlebem. Czasem jeszcze przegryza pomidorem i jest im z tym dobrze. Młoda Angielka zgrabna, że tylko ją wziąć za modelkę, ciągnie męża za rękaw, mąż się opiera, spogląda zimno, jego wcale to wszystko nie bawi, ale żonka każe, więc u portrecisty, zamawia z ociąganiem por-

tret. Będzie go miał za godzinę, tylko ma siedzieć cicho i nie ruszać głową. Portret będzie jak żywy w kolorach samego Leonarda albo Rembrandta, co kto woli, proszę bardzo.

Niemcy, obwieszeni nie wiadomo po co lornetkami od Zeissa, zama-wiają landszafty a la Gogh, ma być dużo słońca i przestrzeni, dużo Południa, verstanden? Nowojorczycy kupują co jest na składzie. Trzeba by nie mieć serca, a raczej rozumu, żeby nie dać się sku-sić. Kto może wiedzieć? A już to zaplamione indywiduum o twarzy gangstera z chicagowskiej mafii, okaże się po latach, jak ten pijak Lautrec, wielkim geniuszem? Nic nie wiadomo. Co drugi z tych malarzy ma na pewno dobrego fioła i niezłego kłębka we łbie, ale nie szkodzi, najważniejsze żeby same obrazy miały jakąś wartość. A ponoć dobry artysta musi być kop-nięty. Wszyscy wielcy malarze zaczęli na tym obskurnym placu, więc coś w tym być musi. A szansy żaden Janke nie przegapił. Trzeba jeszcze wdepnąć do antykwariatu i zapytać o monety Pet-aina. Well, jaka to piękna sztuka, rok 1943 i ten napis: — Tra-

vall, Famille, Patrie (Praca, Rodzi-na, Ojczyzna). Antykwariusz kła-nia się do pasa. Można Jankesom zarzucić co się chce, ale klienci z nich bez skazy. Placą bez szem-rania i nie robią przy tym głupich min, jak ci splajtowani lordowie z Londynu. Tylko Rockefeller tyle sygnął na odbudowę Paryża, że jedną z ulic Wersalu, z wdzięcz-ności, przemianowano na ulicę Rockfeller'a.

Odbudowa Paryża? Śmiać się czy płakać?

Co oni tu wiedzą o wojnie, o zniszczeniach i odbudowie.

Już lepiej dajmy temu spokój. Już lepiej zróbmy tych pareset kół na sam wierzchołek Montmar-tre'u, do Sacre Coeur, której wynio-sie kopuły bieleją nad morzem wielopiętrowych domów. Właśnie stąd rozciąga się bajeczny widok na leżący w dole Paryż. Wtedy pora na zadumę. Ładny jest Pa-ryż, interesujący, pełen atrakcji. Tylko zależy dla kogo. Bo jak się ma pełną kieszeń to wszędzie ład-nie i przyjemnie. A w Paryżu trud-no o franka. Bardzo trudno.

W dniu 20 marca br. odbył się kolejny tegoroczny Turniej Jednego Wiersza, zorganizowany przez Zrzeszenie Studentów Polskich w Klubie „Pod Siódmkami”. Jury w składzie: Jan Koprowski (przewodniczący) oraz Henryk Pustkowski i Marek Wawrzekiewicz (członkowie) przyznało następujące nagrody:

PIERWSZĄ NAGRODĘ Andrzejowi Biskupskiemu za wiersz „Głos pojedynczego człowieka”.

DRUGĄ NAGRODĘ Jackowi Bierezino wi za wiersz „Uspokojenie” oraz

DWIE TRZECIE RÓWNORZĘDNE NAGRODY Halinie Zielińskiej za wiersz „Nawet robak” i Kazimierzowi Świegoickiemu za wiersz „Matka”.

Obok publikujemy nagrodzone utwory Turnieju Jednego Wiersza.

ANDRZEJ BISKUPSKI

I NAGRODA

Głos pojedynczego człowieka

Noś w sobie nieustannie kłamstwo — i będąc w teatrze nie utożsamiaj się z bohaterami, którzy muszą zginąć: bo i na ciebie spadnie wina za ich czyny...

W obronie własnej, ani w obronie innych, nie powołuj się nigdy na prawdy zapisane w książkach — istnieją bowiem kartoteki przypisów do tych prawd: i prawda, która miała bronić, zmieni się w jad trujący...

O bogach lepiej mów: istnieją — ale mów bez przekonania...

— o władcach: że są dobrotliwi...
— o przedmiotach powiedz, że są ci niezbędne...
— o sobie: lepiej nie mów nic...

Na ulicy nie zatrzymuj się z nikim: idź z pustymi oczami i zza ciemnych szkielec nie oglądaj niczego — mogą ci krzyk wypatrzyć zadławiony w gardle: świadkowie, tylko czekający na to...

Nie okłaskuj aktorów: wsłuchuj się w ciszę widowni i tylko na dany znak okłaskuj sceny zbiorowe — albowiem gest pojedynczego człowieka może być źle zrozumiany...

HALINA ZIELIŃSKA

III NAGRODA

Nawet robak

Zbyt trudno być kastratem w chórze odmłodzonym gdzie się dopala głosu mego kłatwa — ty się w nim wikłasz, wążła modulujesz święta — w które nie wchodzi stopą dłonią tylko gładząc popiskiwanie świtu który mnie omija

zbyt trudno być kastratem w twojej strunie młodej której gdy głosem dotknę mój się tli od tonów chorałów słuchać przychodzi przyczysz włosy gładko i miej mi twarz podobną do luster odległych

— nawet robak nie czeka by się mną pożywić droga stopom się smuci wywołujesz dłonie w dłoniach błękit się ślania głosem oddasz oczy Wagnerowskie policzki Dziecko wielkiej ciszy akustyczny pień nęka i oddaje ślepcom odległości na strunach potrącanych z lekka —

nietrudno być kastratem gdy się zapodziewasz i nie ma twego tonu w sześciustrunnej szafce przychodzi z nią brzęcząca drga mi w palcach dobra — a ty mi łzę wyrzucasz owiniętą w żalę —

— więc i robak nie czeka by się mną pożywić nie odnajdziesz w rumieńcach chęci smakowania bo w wydeciu policzków w najgłośniejszym echu śmierć się skalna gromadzi sen osiada nagły na symfonii dziecięcej palcach odmładzanych

— przerażenie objęte moim nagłym śpiewem gaśnie w rogu chorału przypalone tobą — więc przyczysz włosy gładko owini ręce w smugę dobrego światła zmierzchu później oczy ucisz stopy chłodem obmyj i daj się tak prowadzić w gotyk mego basu bym mówił — weszła wyżej

nawet robak nie czeka by się mną pożywić w piaskach napotka obojętnie jedząc nie czekasz i nie czekam nie ma nas tu jeszcze

JACEK BIEREZIN

II NAGRODA

Uspokojenie

1. Samotni tocimy boje o samotność którą nazywamy spokojem i ciszą wyrwani ciągle z powietrza w powietrze idziemy nocą w nienazwaną przyszłość

O jakiej porze Kiedy Gdzie dojdziemy i czy potrafimy jeszcze się ucieścić czas nie upływa czas istnieje zawsze można więc kilka snów o życiu przeżyć

Jesteśmy razem — ja który znam prawdę i ja który chciałbym działać zgodnie z nią żyjemy ciągle gdzieś pomiędzy sobą nie wiedząc że się nigdy nie spotkamy

2. Nasze życie płonie tylko w myślach nasze myśli chcą posągu z czynów nasze czyny znamy tylko w słowach konieczne słowa wciąż jeszcze milczymy

Umiemy nieomylnie rozpoznawać prawdę prawd jedynych dogodnych nieskończenie wiele kapłani rozgrzeszenia na własny użytek mówimy — człowiek jest tylko człowiekiem

Oczekujemy na nieprzyjście czegoś potem wychodzimy żeby nigdzie nie dojść patrząc tak by nie widzieć łańcuchów wygodnych dla nas na nie naszych rękach

3. Wszystko co przychodzi przychodzi za późno Wszystko co istnieje istnieje za wcześniej między nasze ręce a sięgany przedmiot wkrada się zwątpienie i nie starcza rąk

A jednak ruch ten ciągle powtarzamy trzeba by kiedyś złamać co nas dzieli spróbujmy spłynąć w szumie własnej krwi płynnym żelazem w oblodzonej ziemi

A jednak ruch ten ciągle powtarzamy opadnie ręce to zbyt wielki luksus z rozczarowaniem wraca porządek absurdu wraz z nim nadzieja na nową nadzieję

4. Ten szloch który płynie z stulecia w stulecie jest jedynym świadectwem człowieczej godności pisał do pokoleń francuski poeta

I będzie znakiem postępu ludzkości ciemny poeta z pieśnią Maldorora ten co się zjawiał by bronić człowieka

5. Postscriptum Choć będą myśleć starsi redaktorzy pozłocić nasze wiersze czy posolić poezja nasza niech ma prawo wątpić by wątpiąc poznać by poznawszy bronić

KAZIMIERZ ŚWIEGOICKI

III NAGRODA

Matka

Kiedy umieram nocą opuszczają mnie nawet ściany, a wtedy przychodzi to straszne niewidzialne i milczy nad moją głową jak Słinks nad pustynią.

Kiedy umieram nocą, jest obok mnie bezsilny Wielki Bóg i płonie stos wszechświata w ognisku mojej krwi.

Kiedy umieram nocą, przychodzi do mnie matka, dotyka mojego czoła i mówi wstań, w tym pokoju bez ścian, bez dna mógłbyś umrzeć.



Piroska Szanto: Mitologia.

ZYGMUNT FIJAS

Dyngus NA WYSOKI POŁYSK

I tego roku, jak w roku ubiegłym, sprawiam w naszej kamienicy tegi dyngus — począł się zwierzać Grocholski postawiwszy na schodach wiadro z wodą. — Ale zamiast oblać starych Piżmackich, oblałem ich córkę. Dorotka jest to bardzo przystoj

na dziewczyna, ale ciągle coś dodaje do swych wdzięków. Poprawia je, jakby jej nie wystarczało, że jest naturalnie śliczna. Na przykład ma bardzo ładne rzęsy, swoje własne, to musi do nich doklejać sztuczne, tekstylne. Wargi ma nabrzmiałe, wystarczająco czerwone, to musi je przemalowować na kolor popiołu albo płuczek ciełych. Oczy ma bardzo pięknej barwy i ciekawego kształtu, to musi je podchlapywać farbą, żeby wyglądały jak podbite. Mniema, że tylko wtedy jest urodna, jeśli ma oczy podkrążone, jakby przez siedem nocy spała na gołej podłodze, zamiast w łóżku. Ale na urodę, panie Krap, nie ma przepisu. Jednej jest dobrze z tym dodatkiem, drugiej z owym, a trzeciej znowuż jest najlepiej bez żadnego.

Bardzo mnie ta panna złości. A najbardziej wtedy, gdy widzę ją w amarantowych cholewiaczkach, w pasowym futerku i rękawiczkach tej barwy, na jaką pomalowane są wozy strażackie. Jeśli dodamy do tych konfekcyjnych fidrygałów pończochy płomiennej barwy, jaskrawo czerwony

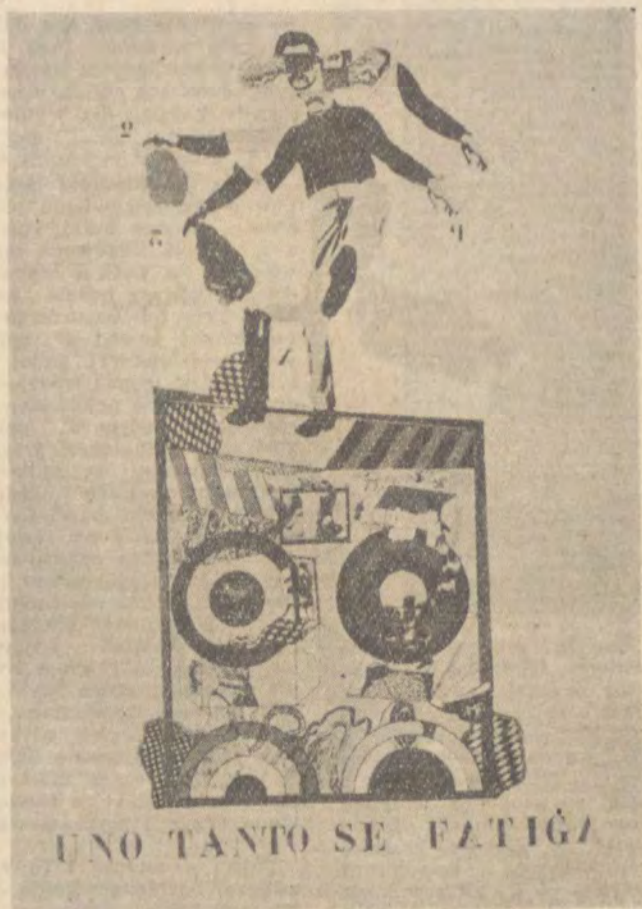
szal i czapkę koloru maku, to wygląda w tym wszystkim jakby była z piekła rodem.

Ale jeszcze bardziej mnie złości jej sympatia: wymokły goguś — brodaty i z baczkami szerokości lampasów na galowych spodniach oficerskich, w białym półfuterku, w kremowym golfie sięgającym nad uszy i białej, futrzanej czapce — z pomponem, jak bałwan śniegowy; i pomyśl, że znowu ten kockodan będzie ją oprowadzał po deptaku, prawą rękę trzymając na jej biodrze, jakby podtrzymywał to, o co ona się boi, żeby jej nie opadło, lewą zaś ręką będzie publicznie oblaływał jej szyję — i migdałił się jak na plaży lub w krzakach.

Ale panna Dorotka zapewne przeczuła albo też dzieci jej wypaplały, że coś przeciw niej knują, czyli mam na nią dyngusową chrapkę, bo spotkawszy mnie na schodach, rzekła: — Przestałbyś z tymi dyngusami! Dokąd będzie się ciągnął ten pojedynek wodny, panie Grocholski? Zeszłego roku oblałeś wodą tatusia. Ojciec spadł ze

schodów, powalał sobie garnitur. To ubra nie można żyć tylko na sucho; spodnie zastąpiły się; jeśli płamy puszcza, to wtedy, gdy się je wystrzyże albo wypali... A z czym, jeśli wolno zapytać, zamierzasz pan oblać mnie w tym roku? — Tu wsparła ręce na biodrach — Wiaderkiem terazniejszej, aromatycznej wódki? Tym nastojem na przemysłowych trocinach?

Bo proszę pana, panie Krap — tu Grocholski potarł brwi nadgarstkami — pan nie wie, boś na urlopie i nie tutejszy, wo da do naszych kranów jest doprowadzana z Pilicy. A wody tej rzeki, podobnie jak wody wielu dopływów Wisły, są zanieczyszczone... Już my, wędkarze, nie możemy się doliczyć strat, jakie z tytułu tych zanieczyszczeń ponieśliśmy. Podobno zanieczyszczono nam wodę w Szczecinie. Ostatnio, jak pisała prasa, zanieczyszczono Bug. W okolicach Strzyżowa, czy innej jakiejś miejsciny, ileś tam ton ryb zdechło... Przecież tego żywca się nie odłowi, co zmarniał! Jeśli temu przemysłowemu zanieczyszczaniu nie położymy kresu, a Zachód przecież także zasmradza i też nie śpi, to na ryby



Antonio Seguí — „Jeden tyle się męczy”. Litografia.

Utarło się u nas tradycyjny wyobrażenie pojęcia „wrażliwy artysta”. Kojarzyśmy więc zwykłą ową wrażliwość twórcy z piękną, estetyzującą formą jego dzieł, z subtelnym, czy nawet nerastycznym rysunkiem, z delikatnością w przetwarzaniu świata zewnętrznego. Myślimy więc wrażliwy — to tyle co delikatny, bo tak nam podpowiada przyzwyczajenie.

I wtedy przychodzi zaskoczenie. Argentynski artysta Antonio Seguí nie jest delikatny. Forma jego grafik, brutalna i dosłowna, nie znajduje porównania z niczym, co prezentują animatorzy polskiej grafiki. Sztuka Seguí jest jak marcznie natarczywa „odpoetyzowana”, antyestetyczna. Seguí nie poszukuje w grafice ani cyzelatorskiego mistrzostwa formy, ani wielo znacznego nastroju. Artysta ten bowiem jest przede wszystkim moralistą, a dopiero potem plastykiem. Dodajmy: wyjątkowo wrażliwym moralistą naszych czasów.

Trzydziestopięcioletni w tej chwili twórca, mimo młodego wieku jest już w świecie bardzo znany. Przyczyniły się do tego nagrody — Prix Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku oraz główna nagroda na ubiegłorocznym II Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie. Obecnie sporą wystawę jego grafik w Polsce — za wdzięczamy operatywnej działalności galerii „Przemat” w Krakowie, które w krótkim czasie po Biennale, udało się zaprezentować twórczość najnowszego laureata.

Formę swojej grafiki ukształtował Seguí z elementów banalnej i nieudolnej plastyki znanej z wesołych miasteczek, strzelnic, jarmarcznych plakatów, zakomponowanych według zasad

nadrealizmu z odrobiną nowoczesnej pop-artowskiej maniery. Zresztą to, co łączy Seguí z aktualną modą, jest dla istoty tej twórczości zupełnie nieważne. W tej plastyce nie ma bowiem powierzchności w stosowaniu aktualnych chwytów formalnych. Wszystko, co znaj-

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

Antonio Seguí — nowa wrażliwość

duje się na powierzchni ryciny podporządkowane jest silnej indywidualności społecznie zaangażowanego artysty.

Seguí nie szuka tematów. Jest towarzyszem codzienności, szarzyzny, która otacza współczesnego człowieka; towarzyszem zakłamania i półprawd w stosunkach międzyludzkich, pruderii i obłędności, pośpiechu i miłości, zbrodni wojennej i trywialnych rozrywek współczesnego mieszczaucha. Jest tropicielem zła społecznego, którego matematykiem jest mieszczaństwo ze swoją filisterską amoralną filozofią życia.

Często ostrze buntu obiera u twórców kierunek antymieszczański. Rzadko jednak robi to tak wstrząsające wrażenie, jak w tym przypadku. Tu artysta nie okazuje bun-

tu. Stara się być jedynie ilustratorem, złym piewem mieszczańskiej sielanki. I ta umiejętność widzenia najdrobniejszych przejawów mieszczańskiej kultury, tej wielkiej rupieciarńi pochłaniającej człowieka — czyni z Seguí przedstawiciela nowej społecznej wrażliwości.

W tym przedziwnym teatrze, który demonstrował Seguí, istnieje tylko człowiek i rekwizyt. Jednakże ich role nie są tradycyjne. Przedmiot — symbol merkantylnej, kupieckiej potęgi, uzyskuje wartość człowieka; człowiek spada do roli przedmiotu. Przedmiotem, wymiernym i wycenionym, jest każda część ludzkiego ciała — mózg, krew, wnętrze, przedmiotem jest męski, przemówienie, ludzki gest.

Ludzie — przedmioty nie krepują się swoich życiowych aspiracji, nie kryją marzeń. Kobiety — wytwory męskich urojeń nie muszą mieć głów; wystarczy że mają piersi, biodra, nogi. Przekrój okazuje ich wnętrza — olbrzymie systemy kół, przekładni, pasów transmisyjnych. Są to bowiem kobiety-maszyny. Mężczyźni, dumni i prężni są wewnątrz puści, dla nich symbolem magicznej męskiej siły są wzorzyste krawaty, kapelusze, skarpetki.

Tu pragnienia tkwią jednoznacznie w płytkim seksie, potrzeby życiowe — w bezładnej krzątaninie, strach — w przypadkowej śmierci. Hitlerowskie mundury opinają torsy, spod których wystają tylko pieszczelce. Biskupie mitry godnie i majestatycznie zdobią głowy bez twarzy, do których jak rurociągi z benzyną podłączone są arterie krwionośne. Kobiety pieszczą

dzieci potworki, wyglądające wkrótce po urodzeniu jak gotowe segmenty maszyny wojennej. Krzyk „mamo”, jest tłumiony przez rozkaz, który rozkłada ciała i gesty ludzkie na wielkiej szachownicy. Zaszczepi, osiągnięcia, sukcesy przepłatane są opasłymi cielskimi wieprz. Wszystko jest pozornie zaprogramowane, rozplanowane. W rzeczywistości jest to wielki, bezgranicznie smutny chaos. Ab surdałny moloch mieszczańskiej egzystencji.

Jest Seguí twórcą nadzwyczaj prostym w swojej koncepcji artystycznej. Operując czytelnym komunikatem graficznym i aluzją nie każe odbiorcy poszukiwać wielu znaczeń, nie stopniuje domysłowości widza. Jeśli jest lirycznym, to brutalnym, nieupomnianym. Mówi wprost i wie, że będzie zrozumiany.

PODKA z książkami

W JASKINI LWA

Nie należy przerażać się tytułem, autor tej książki jest człowiekiem pogodnym i okazuje wiele pobłażliwości dla ludzkich słabostek Victor Sawdon Pritchett zanim rozpoczął karierę literacką, przez wiele lat podróżował i uprawiał dziennikarstwo, co pozwoliło mu na obserwowanie ludzi w najbardziej nieprawdopodobnych a zarazem charakterystycznych sytuacjach.

Już po przeczytaniu pierwszego opowiadania „Święty” nabieramy przekonania, że autor doskonale opanował technikę obserwacji, co pozwala mu na wyrozumiałość i delikatną ironię. I choć stara się traktować swoich bohaterów bardzo serio, jego sposób mówienia o ludziach nosi znamiona krytyki. No bo wyobraźmy sobie purytańską Anglię o wielowiekowych tradycjach, ukazaną nie tyle w krzywym zwierciadle, co z mało znanej i skrajnie ukrywanej strony. A więc mamy drobnych spekulantów i kombinatorów, dobrze wychowanych Angielki upijające się do nieprzytomności na oczach innych, dobrze wychowanych Angielek, wreszcie defraudantów, któregoś dla ratowania reputacji ulicy na której mieszka obwołuje się męczennikiem itp. itp. Typy, wspinające dickensowskie typy, jakich możemy spotkać jeszcze w hermetycznym społeczeństwie starego Albionu, do którego przecież coraz częściej przenikają przyzwyczajenia i nawyki z kontynentu.

Jest więc Pritchett pisarzem, który obok nastroju, poezji, refleksji i dowcipu, wprowadza ledwo wyczuwalną nutę satyry. Jego proza jest spokojna, nawet leniwa, nie ma w niej manifestów, ale jest przecież zarazem celna, demaskatorska, ironiczna.

W Anglii V.S. Pritchett zdobył sławę nowelista i jest uważany za jednego z czołowych jej przedstawicieli. Ale nie można pominąć milczącym jego trzech tomów esejów krytycznych, które świadczą, że sprawy współczesne dla niego obojętne. Polecając zbiór opowiadań „W jaskini lwa” pragniemy w ten sposób dać możliwość naszym czytelnikom poznania jeszcze jednego zdolnego i ciekawego pisarza o bliskotłiwym, choć ironicznym, dowcipie i specyficznym spojrzeniu na świat i ludzi.

E. I.

V.S. Pritchett: W jaskini lwa. PIW. 1968. Stron 168. Cena 20 zł.

PASJONUJĄCA BIOGRAFIA

Mark Schorer zbierał materiał do swej książki „Życie Amerykanina” przez siedem lat. Dotarł do wszy-

stkich miejsc, związanych z życiem Sinclaira Lewisa, odbył podróże do Europy i po Europie (Francja, Włochy), gdzie Lewis przez wiele lat mieszkał i pracował. Schorer odnalazł ludzi, którzy znali Lewisa, przeczytał wszystkie listy jakie do niego i jakie on napisał, słowem: na stworzenie jednej biografii poświęcił więcej czasu, niż niejeden autor na napisanie paru książek. Trzeba też powiedzieć, że praca jego jest pod wieloma względami wzorowa i może służyć za przykład doskonałej roboty. Pod tytuł książki brzmiał „Życie Amerykanina”. Schorerowi chodziło nie tylko o to, aby odtworzyć życie i twórczość Sinclaira Lewisa, autora dwu głośnych powieści (choć napisał ich wiele): „Ulica główna” i „Babbitt”, laureata Nagrody Nobla. Chodziło mu także o to, aby opis życia pisarza umieścić na tle szeroko zakrojonej panoramy życia społeczeństwa amerykańskiego, aby dając historię wzrostu i rozwoju indywidualności twórczej, dać również obraz rozwoju zmieniającego się kraju i narodu. Powstała z tego książka pasjonująca. Sinclair Lewis przeżywał sukcesy i niepowodzenia, trzykrotnie żonał, dotknęły go niebezpieczeństwa alkoholizmu, niepokojny podróżnik tęskniący do życia osiadłego, był czło- wiekiem, któremu nie co ludzi nie było obce. Nic też dziwnego, że biografii Schorer'a czyta się jak porywającą powieść przygodową. Przekażemy Teresie Święcieckiej na ogół poloczysty, choć tu i ówdzie napotyka się pewne chropowatości. Książkę przydadzą wartości liczne ilustracje w tekście.

JK

OPOWIADANIA BOBROWSKIEGO

Po wydanej w roku ubiegłym powieści Johanna Bobrowskiego „Młyn Levis”, otrzymaliśmy obecnie drugą w języku polskim pozycję tego autora. Jest to zbiór opowiadań i miniatur prozą, „Uczta myszy”, wydanych w znacznej i ciekawej powadze. Niezależnie od serialu „Młyn Levis”, Johannes Bobrowski, zmarły w 48 roku swego życia (1965) pozostawił po sobie niemały dorobek literacki, a we wspomnianym już „Młynie Levis” znajdują się również powieści, gdyż autor urodził się i spędził swoją młodość na po-

graniczu niemiecko-litewsko-polskim. W tomie opowiadań „Uczta myszy” otacza nas faktami owa zaginiona i niepowtarzalna atmosfera pogranicza, gdzie współżyją obok siebie ludzie różnych narodowości. Nie są to jednak opowiadania napisane w tradycyjnej konwencji literackiej. Ich treść, czasami niska i pozbawiona tzw. wydarzeń i akcji, zniewala cie, kawy ujęciem i oryginalnością. Autor świetnie maluje nastrojów chwili, umie narysować sylwetkę zapamiętanego człowieka czy odgrzebać w zakamarkach pamięci przeżyte z lat dzieciństwa. Bawimy w większości opowiadania Bobrowskiego dotyczą lat minionych i dzieją się w świecie dzieciństwa i młodości ich autora.

Pięknie przełożyła te opowiadania na język polski Zofia Jaremkowa-Pytowska.

J. K.

Johannes Bobrowski: „Uczta myszy i inne opowiadania”. Czytelnik 1968, str. 238, cena 14 zł.

KONTRAPUNKT

Ukazała się na półkach księgarskich nader interesująca pozycja wydana przez „Książkę i Wiedzę”, która zainteresuje nie tylko liczną rzeszę krytyków, literatów i koneserów słowa drukowanego. Jest to książka Amerykanina Roy Newquista pt. „Kontrapunkt”. Właściwie trudno tu mówić o autorze, gdyż jest on jedynie interloktorem najwybitniejszych przedstawicieli współczesnej literatury amerykańskiej.

Na kartach tej niewielkiej książeczki zabierają głos Louis Auchincloss, Erskine Caldwell, Truman Capote, James Jones, Harper Lee, Irvin Shaw, C.P. Snow, Irving Stone, wydawca Bennett Cerf, felietonista John Crosby, humorysta Jules Feiffer oraz reżyser Tyrone Guthrie. Mówią więc przede wszystkim o literaturze, o przynależności pisarza do epoki, o wierności sobie, dają rady początkującym literatom, a w sumie jest to niezmiernie interesująca dyskusja na temat problemów i nurtów współczesnej kultury amerykańskiej. Obok tego znajdujemy króciutkie biografie tych pisarzy z opisem ich trudnej drogi do literatury.

Oczywiście sprawa pisania i pozycja pisarza w USA jest dla wielu naszych czytelników ciągle jeszcze terra incognita, a nierzadko sądy z reguły dalekie są od prawdy.

Warto więc sięgnąć do tej książki i skonfrontować własne przekonania z tym, co mówią o literaturze jej najwybitniejsi amerykańscy przedstawiciele.

E.I.

Roy Newquist: Kontrapunkt. Książka i Wiedza. 1968 r. Stron 208. Cena 15 zł.

lub po czystą wodę trzeba będzie wiać na inną planetę.

Więc nie podoba się woda z kranu? — zapytałem. — Wcale mi się nie podoba — odparła. — Pachnie mersapionem lub strzyżymy świerkowymi. Co innego woda ze źródła ulicznego. Ta jeszcze nie pachnie.

Dobrze, Dorotko, pomyślałem. Będziesz miała dyngus z wodą ze studni ulicznej, więc głębinowej. Czyli ze źródła do pojemnika koni, zatem „źródłowej”. W to wiadro, co je tu postawiłem, nabrałem wody bezwonnej. Dopelnę ją jedną beczką... Drugą beczkę napełnię wodą z kranu... „Zdrojową” przeznaczę dla kobiety, tę z kranu zapokuruję jej gogusiowi. Urządzą dyngus na taki wysoki polysk, że wymyje jej sztuczne rzęsy, jej wsuwki taliowe, a mo że i kliny biodrowe oraz beznadziejnie smutny, tępy, modny uśmiech, co go sobie codziennie formuje na twarzy, żeby z nim wyglądać jak ta, co wacha marihuane, zjada pastylki LSD, albo z braku laku polyka proszki od bólu głowy, pije krople

bernardyńskie, inoziemcowa, króla duńskie go albo wacha tabakę, takie jej wybiele nie optyczne zrobię, że popamięta. Będę się cackał z córką tego wysterzonego reagenta, co stapa po biurze i po korytarzach jak bocian po ścierni. Zobaczymy, jak pięknie może wyglądać kobieta, gdy jest, jak to piszą w jadłospisach, „au naturelle”. Czyli prosto z wody.

Pan Krap przestąpił z nogi na nogę. — Oblałeś Dorotkę ojca. Mówiła też o jakimś wodnym pojedynku. Coś tam między wami zaszło.

Grocholski spojrzał na drzwi, do których była przykręcona tabliczka z ogromnym napisem „Maria Genowefa Idalia i Teodor Wroczyśław Pizmaczy, referentostwo gleboznawczy”. Po czym wyjaśnił. — Przed dwoma laty zostalem obłany przez tych wielbłądów W czasie dyngusa i niby przez pomyłkę. Ubranie me przyjęło dwa wiadra wody. Ubiegłego roku odplaciłem im pięknie za nadobne. Sprawilem im łanie przed południem. Po południu oni zaczęli się, wciągnęli mnie do mieszkania i wpompo-

wali we mnie wody, ile chcieli. Mało tego: wieczorem panna i jej kawaler wpełzli mnie do kadzi wkopanej w ogrodzie na deszczówkę. Więc mam to puścić płazem? Oko za oko! Ząb za ząb! Dyngus za dyngus!

Pan Krap zwiesił głowę. — Pałasz żąda odwetu. Ale to barbarzyństwo wypuścić kawałki z kobiety to, w czym ona dobrze się czuje. Kobieta nigdy nie będzie zadowolona z zasobów swej śliczności, zawsze będzie je oprawiać w sztuczne dodatki. Tym bardziej wyrafinowane, im bardziej komplikuje się jej pęd do podobania się — wraz ze wzrostem, więc postępowanie cywilizacji. Żeby nawet włożyć na głowę kaszkiet ze skórki z dorszał talie zaś przyoblekła w futerko ze śledział w tym jest ładna, w czym pragnie się podobać. Nie pamiętam gdzie, zdaje się w „Dziwnej zabawie”, powiedział, chyba słusznie, Roger Vailland, że na przykład gazowa pończoszka tyle dodaje szlifowi nóżce kobiecej, co pięknie strzyżona aleja grabowa urodzie dzikiego parku. A pewien mąż stanu, gdy oburzano się na zbyt wąskie spodnie mło-

dzieży, wykrzyknął: „Wąskie spodnie?... Wąskie spodnie i podkasane spódnice! Czy one przeszkadzają wielkiej polityce?” Ech, panie Grocholski! Niepotrzebne zaważanie głowy z tym ciągłym czepianiem się mało ważnych spraw.

Grocholski przeciął ręką powietrze. — Wajlant, nie Wajlant! Pan wie swoje, ja swojej. Za kilka dni dyngus, rocznica mojej porażki wodnej. Aż mi w piersiach gra od dyszenia żądza odwetu.

To rzekłszy mściwie chwycił wiadro za ucho i jął się z nim piąć na trzecie piętro, aby uzupełnić zapas swej ciekłej dyngusowej amunicji.

Z wielką niecierpliwością czeka nasza kamienica na dzień tej wodnej rozprawy. Tego pojedynku na kubły pięknej wiosennej porą, w czasie której nawet najpoważniej usposobionej młodzieży dwój się w łbach i troi, wszystko się w niej burzy, pieni i furczy, łącznie z baczkami, brodami i modnym „spodzieniem”.

Dwie minuty podróży

Dalszy ciąg ze str. 4

ny mówi bardziej do siebie niż do któregoś z kolegów. Usprawiedliwia się przed sobą, choć w całym kraju nie ma w tej chwili nikogo, kto mógłby i miał prawo jego decyzję zakwestionować. Dyżurnemu nie wolno zwrócić uwagi, wolno tylko doradzać. Dyżurny nie może się zde nerwować i nie wolno go denerwować.

Telegraf wycofano z kolei już dawno. Taśma telegrafu stanowiła dowód koronny w dochodzeniu: „co napisał, tego nie zmażał” — na jej podstawie można było odtworzyć wszystkie polecenia, ustalić winnego.

Kolejarz ma obowiązek pracować w oparciu o pełnię wiedzy zawodowej i maksimum dobrej woli — powiada regulamin wewnętrzny, ale przecież dyżurnego telefon wyrwał z łóżka. Psychologia poucza, że dopiero około dwóch godzin po przebudzeniu człowiek odzyskuje pełną sprawność umysłu. Bardzo trudne jest owo maksimum. Więc nie idzie o sankcje prawne. Sąd uwzględniłby zapewne specyfikę pracy i warunki, w jakich została podjęta, uwzględniłby je jako najwyższego rzędu okoliczności łagodzące. Poczucia winy za wypadek ewentualnej katastrofy nie zmaże nikt i nie do końca życia.

Praca w kolejniactwie jest pracą specyficzną. Na przykład praca dyżurnego wymaga obok umiejętności zawodowych specjalnych predyspozycji psychicznych. Współczesna medycyna i psychologia wprawdzie wadzą pojęcie tzw. stresu. Stres jest niebezpieczeństwem. Wolę o tym nie myśleć, kiedy przysięgam to pojęcie do osoby dyżurnego dyspozycyjnego. Jak pracuje człowiek? Jak zareaguje w określonej sytuacji? Bez wiedzy medycznej, nie można powierzyć człowiekowi żadnej odpowiedzialnej funkcji.

Ryzyko zbyt duże.

Więc i o lekarzach pisać by należało, i o psychologach. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż kolejniactwo to cały świat. A jednak będący na usługach innych, jakże wielu światów!

I dlatego tak dużo piszę o człowieku i stosunkowo mało o technice. Człowieka nie zastąpi.

Praca jest ciężka, wyczerpująca, nieprzerwana.

Dyżurny dysponuje dwoma lub czterema odcinkami na wschód, zachód, północ i południe od swej stacji i ewentualnie posturkami odgałęzłymi. Jakież trzeba tu koordynacji, jakież sprawności wszystkich ludzi i jakiego ich do siebie zaufania. Sztafeta dobrej woli trwa bez przerwy i wprost wierzyć się nie chce, że od momentu, kiedy Rokin awizowały międzynarodowy 24-01, minęło niewiele ponad dwie minuty.

— Dysponujący? Kółuski? Mówi nastawia wykonawca. Człowiek ze stopnia zdjęty. Międzynarodowy 24-01 odjechał do Rogowa.

Mezyczyźnie w trzecim przedziale za elektrowozem typu Bo-Bo szalik zsunął się z twarzy.

MIROSŁAW MIESZCZANKOWSKI

reż. W. Fiwek

OKULARNIK



EWA NURCZYŃSKA

Dzieci czekają

W dniach od 4 do 6 marca odbywał się w Poznaniu I Ogólnopolski Festiwal Filmów dla Dzieci i Młodzieży. Lata poprzednie, w których odbywały się w Poznaniu przeglądy tej określonej produkcji filmowej przygotowywały niejako grunt do nadania tej imprezie rangi festiwalu. Obserwacja aktualnego stanu twórczości filmowej dla dzieci i młodzieży i wnioski z niej płynące pozwalają wyśoko ocenić podjętą inicjatywę i to nie dlatego, że I Festiwal osiągnął już tak wysoką rangę artystyczną lecz głównie ze względu na cele, które przed nim postawiono.

Sensu Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży szukać należy w szerokiej popularyzacji tej gałęzi polskiej produkcji filmowej oraz w podniesieniu tą drogą społecznej rangi tego działu twórczości. Można się liczyć z tym, że Festiwal ten zdoła wywołać pewne reperkusje w środowiskach twórczych, wśród wychowawców i pedagogów a także krytyków filmowych i ukierunkować dalszą artystyczną i wychowawczą działalność. Nie bez znaczenia jest również fakt stworzenia poprzez festiwalowe nagrody bodźców wzmagających zainteresowanie realizatorów produkcją filmów dla dzieci i młodzieży. Tajemnicą polszynęła jest ucieczka filmowców, zwłaszcza fabularzystów od tematyki dziecięcej i młodzieżowej.

Odwiecznym powodem tego stanu rzeczy jest fakt, że na po prostu Festiwalu konkursu rozegrał się niemal wyłącznie w kategorii filmów rysunkowych i lalkowych. Kilka filmów aktorskich, które

znalazły się na Festiwalu, to propozycje krótkich form fabularnych, wśród których nie mogła mieć miejsca wielka konkurencja ze względu choćby na to, że podpisane zostały tylko przez dwóch twórców — Jadwigę Kędzierską (Se-Ma-For) i Wojciecha Fiwkę (WFO). Ani jeden pełny film fabularny adresowany do młodego widza nie stanął w szranki festiwalowych bojów.

Wyżej wzmiankowane okoliczności zdecydowały o tym, że I Festiwal Filmów dla Dzieci i Młodzieży musiał w zasadzie zrezygnować z drugiego wymienionego w nazwie adresata. Problem filmu dla młodzieży pozostaje nadal wielką niewiadomą. Zebrany na Festiwalu ogłoszono wiadomość, że w Na czelnym Zarządzie Kinematografii rozpatruje się obecnie możliwość utworzenia zespołu filmowego, który specjalizowałby się w fabularnej twórczości dla dzieci i młodzieży.

Powróćmy jednak do tego, co już mamy, a więc do filmów dla dzieci. W ich produkcji specjalizuje się dziś w kraju kilka wytwórni: Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku Białym, Studio Miniatur Filmowych w Warszawie, Studio Małych Form Filmowych w Łodzi i Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi. Wiele filmów tych wytwórni realizuje się obecnie na zlecenie Telewizji Polskiej. Dla niektórych wytwórni filmy dla dzieci są działalnością podstawową, co automatycznie powinno zobowiązywać do poszukiwania treści i form najwłaściwszych i najlepszych.

Zarówno prezentowane na Festiwalu filmy jak i seminaryjna dyskusja wykazały jednak pewną nieadekwatność aktualnej twórczości w stosunku do zamówień jakie stawiają pedagogika, psychologia, socjologia a wreszcie sama współczesność. Sądzę należy, że większa, bardziej konstruktywna współpraca twórców z rzecznikami współczesnej wiedzy o dziecku jest sprawą, którą rozwinąć trzeba od zaraz, że nie można traktować serio usprawnienia twórców, którzy tłumaczą się tym, iż realizują filmy na eksport, co ma determinować ich jakość formально-treściową.

Oglądaliśmy na Festiwalu wiele uroczych filmów, których sztuka animacyjna, wdzięk, dowcip zasługują na duże uznanie. Serie „Bolek i Lolek wyruszają w świat”, „Czy „Proszę słonia”, filmy „Reksio poliglota”, „Sam jak pies” i wiele innych mogą do starczy wiele radości i zabawy nie tylko małym widzom. Jeśli jednak kilkadziesiąt obejranych filmów możemy skwitować prawie wyłącznie określeniem dobrej zabawy zaczynają nasuwać się pewne wątpliwości. Dzieciom po trzeba jest radość i zabawa to pewne, ale nie najnowszym odkryciem pedagogiki jest fakt, że zabawa to po trzeba poznawania świata. A o tej prostej prawdzie nie zawsze pamiętają nasi twórcy. Ktoś musi zatem postuluować pewne ideały wychowawcze, określać aktualne zainteresowania i możliwości odbioru. Cywilizacja współczesna a w niej między innymi wpływ telewizji przesunęły granice wrażliwości dziecka, a polski film dziecięcy tego nie dostrzega, dzieci traktuje się zbyt infantylnie. Przez wazają filmy, w których dominuje tylko bardziej lub mniej wdzięk anegdota, o powiastka, filmy, przy których dzieci mogą być tylko obserwatorami, filmy, które nie wciągają w tok zdarzeń, które nie wywołują potrzeby

by stawiania ocen czy doświadczenia wyboru. Brak filmów, które bawiąc, wyzwałałyby dziecięce refleksje, stałyby bodźcem dla wyobraźni i fantazji.

Drugą dysproporcją jest na pewno fakt zachwiania równowagi między baśniowością a realnością filmowych opowieści. Na baśń i legendę dziecko zawsze będzie czekać i przy ich pomocy zawsze mówić można o sprawach podstawowej, małej etyki. Sądzę jednak trzeba, że dopiero mądrze pokazana rzeczywistość będzie w pełni zbliżona z aktualnymi przeżyciami dziecka, że światem jego współczesnych zainteresowań. Film dla dzieci i młodzieży, by trafić do swego odbiorcy bardzo często szuka punktu wyjściowego w przygodzie. Nikt od tego nie zamierza twórców odciągać. Niech ta przygoda kojarzy się jednak nie tylko z baśnią i fantazją, niech znajdzie również swój współczesny, realny kształt. Świat, w którym żyje współczesne dziecko, dostarcza chyba niemałej ilości tematów, które bawiąc, mogą uczyć i wychowywać.

Dzieci akceptują i to za zwyczaj bezbłędnie każdą do brą rozrywkę, ale przecież gusty dzieci trzeba kształtować. Trzeba zatem brać na siebie obowiązek wychowawcy — to warunek, którego świadomość działalności tej musi towarzyszyć. Ze jest to warunek trudny, nikt nie wątpi, z satysfakcją więc odnotowuje się wszelkie próby, które bawiąc, wypełniają podstawowe obowiązki artystyczne, poznawcze i wychowawcze.

Sądzę, że przyznanie na po prostu Festiwalu I nagrody filmowi R. Kuziemskiego „Bajka” miało być drogowskazem celu, ku któremu winni twórcy zmierzać. Film ten ujęciem tematu, który atakował dziecięcą wyobraźnię i zmuszał do myślenia wyróżniał się wśród wielu do brych, ale konwencjonalnych filmów tegorocznego Festiwalu.

W kategorii krótkich filmów fabularnych wyróżniono „Małe smutki” i „Jedrka” J. Kędzierskiej. Nie sposób nie zaakcentować uroku tych filmów, piękną obrazem, celnością obserwacji zachowań dzieci. Nie wiem jednak, czy w pracy z dziećmi bardziej funkcjonalnie nie można się posłużyć filmami W. Fiwki. Wartości wychowawcze zestawu jego filmów, z wyróżnieniem „Okularnika” to atuty tych filmów. Nie zawsze są one doskonałe, są jednak zawsze dowodem uporczywych, wieloletnich poszukiwań reżysera, który swą działalnością wypełnia dotkliwą lukę na którą tak bardzo narzekają wychowawcy.

Simenon czyli Balzac bez dłużyzn

— Są tacy, którzy chcieliby mnie ukarać za przekroczenie maksymalnej szybkości w pisaniu powieści — powiedział kiedyś Georges Simenon. 66-letni obecnie pisarz opublikował właśnie swoją dwusetną powieść. Nie liczymy przy tym około 200 powieści i tysięcy opowiadań wydanych pod rozmaitymi pseudonimami na początku tej fantastycznej kariery.

Simenon pobili kilka rekordów świata: jest on najszybszym, najpłodniejszym i najpopularniejszym autorem naszego stulecia. Jego książki osiągnęły 50-milionowy nakład i zostały dotychczas przetłumaczone na 42 języki a także przerabiane na sztuki teatralne i słuchowiska. Scenariusze 50 filmów i serii

telewizyjnych bazują na opowiadaniach Simenona. Ostatnio ukazały się w Editions Recontre (Lozanna) jego dzieła zebrane. Francuski krytyk Andre Parinaud pracuje już od jedenastu lat nad trytomową interpretacją dzieł Simenona pt. „Connaissance de Georges Simenon”. Paryski lekarz Conrad Rietzen poświęcił mu studium pt. „Simenon, rzecznik człowieka”, Bernard de Fallois — olbrzymią dokumentację w wydawnictwie Gallimard, Roger Stéphané „Dossier Simenon”. Również w Anglii wielu pisarzy i krytyków ustosunkowało się do tego „belgijskiego cudu świata”, że wspomniemy dla przykładu znaną książkę Johna Raymonda „Simenon in Court”.

Wszyscy ci autorzy chwalą i analizują dzieła Simenona, powołując się przy sposobności na Marcela Aymé, który widzi w Simenonie „Balzaca bez dłużyzn” mistrza „sztuki dnia codziennego”, powołują się na sir Herberta Reada, na Cocteau i Mauriac, nawet na hrabiego Keyserlinga, który nazwał Simenona „glupcem o wielkim geniuszu”. André Gide, jeden z najgorliwszych wielbicieli Simenona, powiedział o nim, że jest on „jedynym prawdziwym powieściopisarzem współczesnej literatury”. André Gide wiedział, dlaczego nie brano na serio tego autora — mimo jego wręcz fanta-

stycznego powołania. Padł Pan — pisał do Simenona — ofiarą swoich pierwszych sukcesów... czyli szpetnie fałszywej reputacji.

I tak jest poniekąd jeszcze dzisiaj. Ojciec komisarza Maigreta, członek Belgijskiej Akademii Królewskiej, właściciel willi o czterdziestu oknach, położonej nad Jeziorem Genewskim, uchodził w opinii wielu krytyków za autora powieści rozrywkowych a nie poważnej literatury. Ciągłe wspominały oni o przygodowo-pikantnych powieściach, które Simenon popełnił kiedyś pod wieloma pseudonimami — jako George Sim, Gom Gut, Aramis, Kim oraz Jean du Perry, — pisząc dla „kuchci i kumoszek”, wspominając o takich samych krótkich opowiadaniach np. o „Staniku madame Goud ruchen” lub o „śmiertelnych pocałunkach”.

Georges Joseph Christian Simenon urodził się w 1903 roku w Liège (Leodium, Belgia). Wychowanek jezuitów, był kolejno terminatorem cukrowniczym, uczniem księgarskim, redaktorem „Gazette de Liège”, sekretarzem działacza politycznego, próbował jeszcze wielu innych zawodów. Miał 21 lat, kiedy napisał swoją pierwszą powieść rozrywkową pt. „Romans stenotypistki”. Powieść tę napisał w ciągu jednego przedpołudnia, na tarasie podmiejskiej kawiarni.

Już cztery lata później Simenon posiadał własną łódź motorową, na której pływał po francuskich rzekach, a nim znowu rok upłynął, młody autor był właścicielem kutra „Ostrogoth”. Na nim to przybył do małej holenderskiej miejsciny Delfzyl. Było to we wrześniu 1929 roku. W Delfzyl zrodził się w fantazji Simenona komisarz paryskiej policji kryminalnej Jules-Aimée-Francois-Maigret, dziś znany setkom milionów ludzi. 37 lat później, w 1966 roku, w Delfzyl wzniesiono ku chwale Maigreta jego pomnik z brązu.

Oto on, komisarz Maigret, mężczyzna o ciężkiej budowie ciała, Maigret z fajką w ustach w swoim służbowym pokoju na Quai des Orfèvres 36, w otoczeniu inspektorów Lucas, Lapointe, Janvier i Torrence, wsluchany w marmotanie pieca z łanego żelaza, podczas gdy kelner z Brasserie Dauphine przynosi piwo i kanapki, prowiant na długie godziny nocnego przesłuchiwania. A w domu, na Boulevard Richard Lenoir, czeka madame Louise Maigret z widłem własnej roboty.

Maigret, skąpo opłacany urzędnik, jest zupełnie inny niż wszyscy pozostali detektywi literatury kryminalnej. W jego „plebejskim ciebie” — dusza pełna tkliwości, pełna wspomnień z lat dziecięcych. Otacza go aura z początku naszego wie-

ku. Jest on, działając już w czwartą, zawsze jeszcze obywatelem Trzeciej Republiki. Z lunatyczną pewnością odśladania kulisz mieszczańskiego bytu, demaskuje jego kłamstwa i występki, rozpoznaje cierpienia — jako „poprawiacz losu”, który nikogo nie potępia, bo wszystko rozumie.

„Pietr-le-Letton”, pierwsza powieść wydana pod właściwym nazwiskiem Simenona, ukazała się w 1930 roku. W ciągu jednego tylko — następnego — roku Simenon napisał i opublikował aż osiem powieści o Maigrecie, w kilka miesięcy później Jean Renoir nakręcił pierwszy film według opowiadania głośnego już autora.

„Mały Sim” — tak nazwała go poetka Colette — dotąd parający się literaturą rozrywkową, jak przed nim młody Balzac, stał się „Balzakiem bez dłużyzn”. Simenon poświęcił się zupełnie swoim kryminalnym powieściom i psychologicznym opowiadaniom, najtragiczniejszemu, według niego, tematowi: „nieudolność człowieka do wyrażenia siebie samego wśród milionów takich samych jak on ludzi”. Simenon utożsamia się z postaciami swoich powieści, tak jak kaze Maigretowi utożsamiać się z mordercami — Staram się — powiedział — obierać człowieka, tak jak się obiera cebulę, by dotrzeć do tego, co jest jego prawdą. Simenon

Mówi dyr. Rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi

— Jan Pakuła

To zdanie słyszymy często na falach eteru, ale to nieprawda, bo tego zdania i następnych bardzo często właśnie nie słychać... Dlatego też rozmowę z dyrektorem Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, Janem Pakułą, rozpoczynamy od spraw technicznych.

— To prawda — rozpoczyna dyr. Jan Pakuła — nie słychać nas najlepiej na falach średnich w paśmie 202,2 metra. Na tej częstotliwości pracuje przecież w kraju kilka nadajników o mocy 2 kilowatów i około 100 podobnych nadajników w Europie. W tej częstotliwości nie wolno nam zwiększać mocy nadajnika, bo zakłócalibyśmy inne stacje. Oczywiście Łódź dysponuje nadajnikiem o mocy 60 kilowatów, ale częstotliwość na której on pracuje wspólna jest z nadajnikami Lublina i Białegostoku. Dla Łodzi pozostaje więc praktycznie jedna godzina dziennie (od 12.40 do 13.40). Z tego właśnie nadajnika na fali 219,6 m idzie codziennie program rolniczy dla województwa.

Jest to więc swego rodzaju zaklęty krąg. Na fali 202,2 m nie możemy zwiększać mocy nadajnika, bo zabraniają tego przepisy — na fali 219,6 metra jesteśmy niejako „udziałowcami” wspólnie z Lublinem i Białymostkiem, co automatycznie ogranicza nam możliwości czasowe.

Wyjście z tego kręgu jest jedno, a mianowicie fale ultrakrótkie. Cały łódzki program lokalny emitujemy obecnie również na UKF — jest to zresztą rozwiązanie, które przyjęto we wszystkich krajach.

W Polsce wyglądać to będzie tak, że lokalne programy przejdą po roku 1975 całkowicie na UKF. Niestety — nierozwiązany do dziś problem są radiodiody odbiorniki z tym zakresem fal. Mimo trzech uchwał rządowych przemysł nie rzuca na rynek dostatecznej ilości takich odbiorników tego typu. Potrzebne są zatem jakieś zdecydowane posunięcia ekonomiczne.

Przejdzie rozgłośnia lokalnych na UKF nie eliminuje oczywiście fal długich i średnich z naszej radiofonii. Bu-

duje się zatem wielki nadajnik dla Warszawy I o mocy 1500 kilowatów oraz trzy nadajniki o mocy ponad 500 kilowatów dla fal średnich ale dla rozgłośni centralnej. Korzyść z takiego rozwiązania będzie olbrzymia — nie

ro za parę lat. Kierunek tych zmian jest jednak zdecydowany i zgodny z rozwojem radiofonii na całym świecie. Nie ma więc rady — trzeba się zaopatrzyć w odbiorniki z zakresem fal ultrakrótkich, bo tylko na tej częstotliwości emitować będą swe programy wszystkie rozgłośnie lokalne. My robimy to już od jakiegoś czasu i kto dysponuje odbiornikiem z UKF kłopotów z odbiorem Łodzi na ogół nie ma.

Tyle jeśli chodzi o sprawy ogólne. Natomiast bardzo poważne zmiany nastąpią w naszej łódzkiej rozgłośni. Otóż zaczyna już pracę nowy nadajnik o mocy 2 kilowatów na fali 202,2 m, zainstalowany w sporej odległości od rozgłośni. Zastąpi on stary nadajnik znajdujący się przy gmachu na ul. Narutowicza i choć nie poprawi się dzięki niemu zasięg, to na pewno poprawie ulegnie jakość audycji — szczególnie muzycznych. Nawiasem mówiąc je-

Taka właśnie jak dotychczas lokalizacja nadajnika nie tylko w poważnym stopniu niewyżyła wysiłku naszych inżynierów psując jakość ich nagrań ale także hamowała wszelkie koncepcje przebudowy i modernizacji rozgłośni.

Udało nam się jednak uzyskać od Ministerstwa Łączności nowy nadajnik o mocy 2 kilowatów, który już rozpoczyna pracę. W związku jednak z planami przejścia programów lokalnych na UKF resort nie był zainteresowany w budowie pomieszczeń dla tego nadajnika. Mielimy więc urządzenie — nie mieliśmy pomieszczeń. Z pomocą przyszły nam tu władze partyjne i administracyjne Łodzi i z funduszy miasta zbudowano pomieszczenie dla stacji nadawczej.

Po likwidacji nadajnika przy ul. Narutowicza będziemy mogli już w przyszłym roku przystąpić do gruntow-

reżysernią, studiem kameralno-odczytowym, będą też trzy bloki emisyjno-produkcyjne, 3 studia spikerskie z odpowiednimi amplifikatorami. Przewiduje się także jeden blok emisyjny do produkcji programów stereofonicznych. Ta baza produkcyjna pozwoli nam na realizację programu w granicach 10 godzin dziennie, podczas gdy obecnie jesteśmy zdolni zrealizować maksimum ok. 5 godzin programu dziennie. Ale w jakich warunkach! Współczynnik wykorzystania urządzeń jest u nas najwyższy w Polsce i dawno już przekroczył wszelkie dopuszczalne normy. Śmiało można powiedzieć, że przebudowa stworzy nam perspektywę mocy produkcyjnej rozgłośni — zaspokajające potrzeby do roku dwutysięcznego. Nie muszę też dodawać, że przy tej okazji nastąpi wymiana całego sprzętu na nowy i — oczywiście — najnowocześniejszy.

Kłopoty są tylko ze znalezieniem wykonawcy. Istnieje w Łodzi takie przedsiębiorstwo, specjalizujące się w przebudowie i modernizacji różnych nietypowych obiektów. Jest nim Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane Przemysłu Lekkiego, któremu chcielibyśmy powierzyć tę budowę. Niestety — dotychczasowe rozmowy w tej sprawie nie dają rezultatu.

Ale to nie wszystko. Obok istniejącej rozgłośni powstanie cały ośrodek radiowo-telewizyjny. Jest zatem w planie budowa 11-kondygnacyjnego wieżowca dla redakcji i administracji. Na ostatnim piętrze zainstaluje się urządzenia dla przesyłania programów. Obok powstanie wielkie studio muzyczne o powierzchni 400 m kw. z widownią na 100 osób przystosowane do nagrań i transmisji programów radiowych i telewizyjnych.

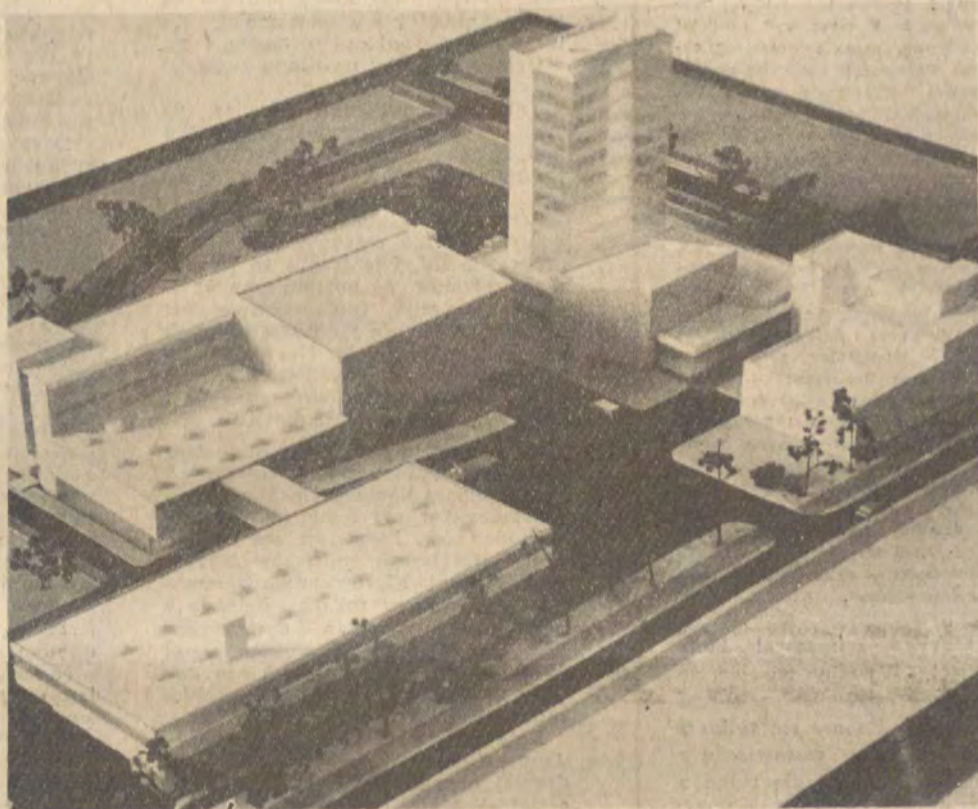
Będzie też mniejsze studio muzyczne, duży blok pomieszczeń dla telewizji, urzędzenia socjalne, garaże, magazyny dekoracji dla TV.

Słowem, będzie to baza z prawdziwego zdarzenia, zapewniająca normalne warunki pracy, a co za tym idzie zapewniająca lepszą jakość naszych programów.

Notował:

JERZY WILMAŃSKI

Halo, tu Łódź!



tylko zapewni ono dobrą słyszalność polskich radiostacji w całym kraju, ale i w Europie. Rozgłośnie lokalne będą też w poważnym stopniu partycypować w przygotowywaniu programów Warszawy. Obecnie udział ten wynosi 18 proc. całego programu centralnego — w najbliższych latach zwiększy się do 40 procent.

Ale powtarzam — te zasadnicze zmiany nastąpią dopiero

steśmy chyba jedyną placówką w Europie która miała nadajnik razem z pomieszczeniami rozgłośni. W wypadku gazety ideałem jest redakcja w jednym gmachu z drukarnią — w wypadku radia nadajnik razem z rozgłośnią jest absurdem. Pole elektromagnetyczne wytwarzane bowiem przez urządzenie nadajnika „wchodzi” na urządzenia rozgłośni powodując różnego rodzaju zakłócenia.

nej przebudowy i modernizacji rozgłośni. A wielki już czas. Dotychczasowe pomieszczenia obliczone były na maksimum 40 osób — pracuje tu natomiast ponad 200. Aktualnie, mamy zaledwie jedno studio spikerskie, jedno muzyczne i jedno kameralne.

Po przebudowie dysponować będziemy trzema blokami produkcyjnymi — studiem słuchowisko-muzycznym z

trzyma się swojej przewodniej tezy z nieubłaganą konsekwencją greckiej tragedii. Jego fabuły „biorą” nie tylko „szeroką publiczność”, lecz w równej mierze wrażliwych i wyrafinowanych czytelników, powiedział André Gide. Jest rzeczą znamienną, że powieści Simenona stanowią psychografię nader zwyczajnych ludzi, wyrwanych z dnia powszedniego wskutek zrzędzenia ślepego losu lub zgola wskutek przypadku, by ulec nieuniknionej katastrofie.

W przeciwieństwie do innych autorów, interesujących się życiem swoich postaci, Simenon ciekawiej raczej ich śmiertelność — stwierdza Fallois, autor monografii o Simenonie. Eseiści Jean Amery pisze: „Każda z tych powieści jest analizą jakiegoś opętania, analizą wyobcowania człowieka ze społeczeństwa wskutek losu tkwiącego w tym człowieku. „Tkwiącego w nim losu” — to znaczy, że konkretna sytuacja społeczna, sceneria historyczna i socjologiczna nie mają tu decydującego znaczenia. Nie ma go tedy — dla Simenona — ani polityka, ani religia, wojna czy gospodarka. Dla niego są to tylko kulisy sceny na której odbywa się dramat. Obojętnie, gdzie przebywają jego bohaterowie — w luksusowym paryskim hotelu „Georges V” lub w chłopskiej zagrodzie w Bretonii, na Tahiti, w La Rochelle, w Tyrolu czy w Meksyku,

oraz obojętnie kim są — lekarzami, wiejskimi, aktorami, rzemieślnikami czy też magnatami gazetowymi — ich zawód, czas i otoczenie, w którym żyją, wszystko razem jest u Simenona tylko zewnętrzną ramą dla dziełowej wewnętrznej człowieka.

2000 postaci, którymi Balzac załadnił swoją „Komedie ludzką”, gonił tam za pieniędzmi i sławą. 2000 postaci Simenona jest pogrążonych we wspomnieniach o „lśniącym bezgranicznym świecie” dzieciństwa. Są one określone przez swoją przeszłość, są ofiarami swoich „ciemnych stron”, niewolnikami egzystencjalistycznej szamotającej nimi samotności.

Tragiczne, tragikomiczne, melodramatyczne powieści Simenona pełne seksualnych wątków, konfliktów i czynów, znamionuje również nieobecność boga, brak jakiegokolwiek innej metafizycznej pociechy oraz moralności. On nie wartościuje, nie sądzi swoich desperackich bohaterów i każe również Maigretowi tak postępować. Simenon pokazuje tylko, co się odbywa, posługując się suchym, na ogół bezmetaforycznym stylem pełnym niedomówień. Stara się on, jak powiedział, „wszystko omijać co wygląda na literaturę”. Wartościowanie pozostawia czytelnikowi. Ale i ten niechętnie to czyni, ponieważ autor sugeruje mu tak sil-

nie sposób bycia i urazy bohatera, że czytelnik identyfikuje go ze swoim najlepszym przyjacielem, czyli z samym sobą — pisze brytyjski krytyk, pani Brigid Brophy.

Simenon opisuje zbrodnię, czując „fizyczną odrazę do przemocy”. W roku 1933 usiłował on nawet założyć „Ligę przeciwko nienawiści”. Lecz wszystko, czym pisarz może ludziom pomóc — pisze Simenon — zamyka się w następującym stwierdzeniu: „każdy człowiek ma swoją ciemną stronę, której się wstydzi. Ale gdy zobaczy osobę do siebie podobną wówczas powiada sobie: nie jestem jedynym takim potworem. To może być dla niego pociechą...”

Od 1963 roku Simenon żyje ze swoją liczną rodziną i dziesięcioosobową służbą w Epalinges nad Jeziorem Genewskim, skazany na „ciężkie roboty” pisanie przeciętnie 6 powieści rocznie. Oczywiście, że wypisał milionowe dochody. Jego sąsiad, niejaki Charlie Chaplin, powiedział w rozmowie z Simenonem: „Pan i ja jesteśmy psychopatai. Cud, że nam za to płacą”.

Nie ma wątpliwości, że olbrzymie czytelnictwo dzieł Simenona powstało na tle jak gdyby psychopatologicznych tendencji w społeczeństwie. Simenon czuje się psychoterapeutą. Niedawno odwiedziła go ekipa lekarzy, współpracowników szwajcarskiego czasopisma „Medicine et

Hygiène”, którym udzielił najdłuższego w swoim życiu wywiadu, bo trwającego okrągły dzień. Ogranicza my się tu do podania kwintesencji tej nader interesującej rozmowy.

— Piszę w transie, mówi Simenon. — Gdy rozpoczynam powieść, którą muszę zakończyć w ciągu 15 dni, bo inaczej porzuciłbym pracę nad nią, zamieniam się w jej głównego bohatera, odrywam się od siebie, mego i żyję obcym życiem. Piszę jak najszybciej, jak najmniej zastanawiając się. Kieruje mną podświadomość. W przeciwnym razie powieść nie udałaby się. Przy rozpoczęciu pracy aż trzęsę się od szalonej tremy. Dlaczego? Bo nie wiem jak się pisze powieść. Gdybym wiedział, nie drżałbym ze strachu. Dlatego nie wiadomo mi czy nie jakieś zdanie w drugiej linijce na trzeciej stronie stanie się osią całej powieści.

— Ma się wrażenie — wtrącił jeden z rozmówców — że pan żył nie jednym życiem

— Owszem, jeśli można to tak nazwać. Byłem marynarzem, dosłużyłem się dyplomu kapitana żeglugi przybrzeżnej, gospodarowałem na ziemi, umiem doić krowy, bo posłałem ich 150, spróbowałem wielu zawodów i uprawiałem wiele sportów. Ale wszystko robiłem źle, bo

dobrze robi się tylko tę rzecz, której się człowiek wyłącznie poświęca.

— Sądzimy — odezwał się inny z rozmówców — że pana powieści pomogły ludziom w rozwiązywaniu ich osobistych problemów. Za to są panu wdzięczni...

— Wdzięczność? Moi przyjaciele z paryskiej policji kryminalnej opowiedzieli mi, że zbrodniarz, gdy po wielogodzinnym przesłuchiowaniu przyzna się już do winy, nie czuje się upokorzony. Przeciwnie odczuwa ulgę oraz wdzięczność dla komisarza. Kiedy wykonywano jeszcze wyrok śmierci za pomocą gilotyny, około 30 procent strażników prosiło komisarza, który im dowiódł winę, by obecny był przy wykonaniu wyroku.

— Kim jest przestępca? — powiedział w tym wywiadzie Simenon. — Człowiekiem jak każdy inny. Ale gdy popełnia przestępstwo, zostaje na zawsze wykluczony ze wspólnoty ludzkiej. Oto z czym się nigdy nie zgodzę!

(Opr. L. B.)

Blonica

AUSTRIA — POLSKA

Pierwszy tegoroczny numer wydanego w Wiedniu czasopisma „Oesterreich-Polen” przynosi wiele interesujących artykułów i jest bogato ilustrowany. Sławista Uniwersytetu Wiedeńskiego, Günther Klytzens, publikuje obszerny artykuł o Stanisławie Wyspiańskim, z okazji 100-letniej rocznicy urodzin pisarza. W numerze znajdziemy artykuł o zmarłym w styczniu br. Franciszku Teodorze Csokorze, wybitnym pisarzu austriackim, tłumaczem literatury polskiej i przyjacielu Polaków, a także fragment z jego książki o Polsce pt. „Na obcych drogach”. Na dwu kolumnach pomieszczono „Mały przewodnik turystyczny” dla tych, którzy udają się w podróż do Polski, z pięknymi zdjęciami Lublina, Kazimierza, Pienin i Dunajca. Całości numeru dopełnia kronika kulturalna obu krajów. Redakcja zapowiada, że następny numer ukaze się z okazji Targów Poznańskich w dwu językach: polskim i niemieckim.

CHOPIN W NRF

Nie słabnie zainteresowanie muzyką Chopina w świecie. Utwory naszego najgłośniejszego kompozytora nagrane na płycie przez firmę RCA Victor utrzymują się niezmienne na czwartej pozycji wśród zachodniomiejscowych bestsellerów wojnowych. Na liście tej wyższą lokatę ma tylko „8 Koncert Brandenburski” Bacha, oraz popularne recitale pod nazwą „Koncert fuer Millionen”.

Obecnie na rynku niemieckim pojawił się komplet nowych nagrań chopinowskich. Są to trzy płyty w cenie 75 marek zawierające utwory Chopina na fortepian i orkiestrę. Ich odtwórcą jest bułgarski pianista Aleksy Weisenberg, który nagrał koncerty, fantazje, mazurki i krakowiaki. Towarzyszy mu orkiestra Société Concert du Conservatoire pod dyktando Stanisława Skrowaczewskiego, znanego polskiego kompozytora i dyrygenta. Tytuł „Spiegel”, skąd zaczerpnął my tę wiadomość, dodaje, że 45-letni kompozytor od 12 lat dyryguje orkiestrami Cleveland i Minneapolis w Stanach Zjednoczonych.

K. F.

Blonica

Kłopoty nie tylko z tytułem

Jeszcze nie przebrzmiał wszytkoistyczny stwór „Stendhal i S-ka” nie cieszący się raczej uznaniem publiczności, a już pojawiły się „Parady” J. Potockiego, które też „nie chwyciły” (nie wiadomo zresztą dlaczego, bo był to spektakl wartościowy i interesujący. Widocznie większość łódzkiej publiczności nie dorosła jeszcze do nieco specyficznego, odmiennego humoru tego typu komedii).

Wydaje się jednak, że tę samą publiczność usatysfakcjonuje i zadowoli nowa, szósta w tym sezonie premiera Teatru 7.15 „Znamy cię tylko z widzenia”, napisana przez dwóch leningradzkich lekarzy A. Arkanowa i G. Gorina, a przetłumaczona przez K. Żywulską.

Pod tym tajemniczym tytułem kryje się inny: „Wesele na cała Europę” (Swadba na wsio Jewropu), ale realizatorzy spektaklu zmienili go celem uniknięcia ewentualnych skojarzeń z „Weselem” Wyspiańskiego. I słusznie. Omawianej sztuce i tak wszystko jedno pod jakim tytułem będzie grana.

Nie należy wątpić, że w Łodzi rzecz ta będzie podobać się wszystkim, którzy szukają w teatrze łatwej, bezproblemowej rozrywki. Nie należy jednak zapominać, że powodzenie nie zawsze idzie w parze z tzw. poziomem artystycznym spektaklu, jeśli zaś mowa o poziomie, to nie wychodzi on poza przeciętność.

Na treść sztuki składają się perypetie młodej pary, której wesele ma transmitować telewizja i to nie tylko w programie lokalnym, ale na całą Europę. (Stąd też wziął się pierwotny tytuł sztuki). A że mowa tu właśnie o telewizji i jej zakulisowych sprawkach, przeto dla uniknięcia wspomnianego już słowa „wesele”, łódzcy realizatorzy zmienili tytuł na: „Znamy cię tylko z widzenia”, przy czym słówko „cię” odnosi się do telewizji. Sztukę tę adaptował i reżyserował znany reżyser telewizyjny Kazimierz Oracz, który dzięki doskonałej znajomości sposobów i metod pracy telewizyjnej uczynił całą rzecz dowcipną i aktualną. Ale K. Oracz koncentrując się głównie na wypracowa-

niu poszczególnych typów tej komedycji, oraz na jak największym namnożeniu zabawnych sytuacji i nieporozumień, zbyt mało uwagi zwrócił na zgranie całego ze społu aktorskiego. Rezultat? Oglądając spektakl odnosi się wrażenie, że każdy z aktorów działa na „własną rękę”, wymyśla dla siebie jak najwięcej grepsów scenicznych, czasem nawet za cenę tzw. „ugotowania kolegi”. Taka sytuacja z kolei powoduje — brak kontaktu ze współgrającymi partnerami, dalej — prowadzi do zbyt przerysowanych gestów i nadmiernej głośności wygłaszanych dialogów.

Trudno tu mówić o wyrównanej grze aktorskiej. W tym przypadku należy raczej ocenić poszczególne wcielenia aktorskie. I tak w „indywidualnych” popisach wystąpili:

Alleja Krawczykówna — uroczą panną Maryną Żurenkową. Nina Król — Rima Kurkina „pragnie się wydać za artystę”, przyjaciółka panny młodej entuzjastycznie przyjmująca wszelkie poczynania pracowników telewizji. Jerzy Balbuz — nie zawsze szczęśliwy pan młody, Paweł Agielew. Lena Wilczyńska — w podwójnej roli: prosto-duszej, poczciwej, „lubiącej patrzeć na świat przez łyż” Jewdokii Agielewnej, oraz rutynowanej aktorki obdarzonej charakterystyczną manierą wygłaszania słów. Henryk Staszewski — także w podwójnej roli: komicznego, nie rozstającego się z czajnikiem wypieloniom bryndziem, nie wodą — Iwana Głotowa, a następnie aktora który ma zastąpić Głotowa w „telewizyjnym weselu”. Sławomir Miśkiewicz — zabawny, sympatyczny dziadek, Wasył Żurenkow, któremu towarzyszy nieodłącznie ogromny puzon i kołka. Henryk Józwiak — telewizyjny reżyser Sedych. Irena Burawska — redaktor Wiera Jeszurina „słodka i bardzo ważna”. Krzysztof Różycki — Marek Persik „scenarzysta który nie lubi pisać”. Hanna Boratyńska — dobrze zapowiadająca się spikerka telewizyjna. Andrzej Herder — dziadek „z lumbago i tytułem zastępczego artysty”, oraz Bohdan Wróblewski — aktor operetki „Apple wa dość głośno”.

Muzykę opracował Piotr Hertel. Wydaje mi się, że wykorzystanie w spektaklu piosenek „Znamy cię tylko z widzenia” w zestawieniu z tytułem „Znamy cię tylko z widzenia” może dawać powodów do nie istniejących skojarzeń.

Trochę zawiodła scenografia Bolesława Kamykowskiego ograniczająca znacznie wielkość sceny, a tym samym nie pozwalająca aktorom na swobodniejsze rozegranie akcji na całej przestrzeni scenicznej. Z tego powodu większa część przedstawienia ograniczała się do gry na proscenium.

TELEOBIEKTYW

Słuchamy i patrzymy

Przyzwyczajam już czytelników tej rubryki (pochlebiam sobie, że chyba tacy istnieją) do specyficznego spojrzenia na telewizję. Szczególną uwagę poświęcam tym pozycjom programowym, które służą poszerzeniu terenów eksploatowanych przez TV.

Początki telewizji określić można jako wielkie naśladownictwo. Naśladownictwo teatru, filmu, estrady, sali koncertowej, radia, gazety. Stopniowo jednak (wciąż zbyt powoli!) najmłodsza Muza dojrzewa i staje się władna inaczej zagospodarowywać czas na ekranie. Może wypracować sobie takie formy programowe, które będą typowe tylko dla niej.

Jeśli więc zdarzy się pozycja, która wskazuje na poszukiwanie nowych form, T-O kwituje ją z satysfakcją, a czasem z entuzjazmem. I dziś właśnie zamierzam przyklasnąć takiej inicjatywie, która podjęta już została przed kilku miesiącami, ale teraz właśnie nabiera rozmachu i ma wszelkie dane, by na długo zagłębić się w naszym życiu.

Tytuł tego felietonu zdradza, że mam na myśli imprezę katowicką pod nazwą „Słuchamy i patrzymy”. Program ten ma liczne zalety, które postaram się z grubsza wyliczyć.

Przed wszystkim podejmuje trud umuzykalnienia masowego odbiorcy programu TV. Nie trzeba tu powtarzać truizmów, że poziom umuzykalnienia naszego społeczeństwa jest na ogół niski, nie na miarę naszych ambicji kulturalnych. Nie powinien nam przesłaniać świadomości tego bujny rozwój ruchu big-beatowego i zawrotna kariera piosenkarstwa.

Tu dochodzimy do kolejnej zalety programu „Słuchamy i patrzymy”. Dzięki niemu bowiem słuchamy dobrej muzyki i patrzymy na dobrych wykonawców. Propaguje się utwory najwybitniejszych mistrzów muzyki symfonicznej. Kierownictwo muzyczne spoczywa w rękach jednego z najlepszych polskich dyrygentów Bohdana Wodiczki, a wykonawcami są Wielka Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji oraz starannie dobrane soliści.

Kolejny atut. Autorzy programu — Janusz Cegieła (scenariusz i prowadzenie) oraz R. Ray-Zawadzki (reżyseria) — znaleźli właściwy klucz do popularyzowania wiedzy muzycznej. Program ogląda się z prawdziwym zainteresowaniem. Adresowany jest przy tym zarówno do dorosłych, jak do młodzieży i starszych dzieci.

I wreszcie as autowaty: cel swój autorzy osiągnęli — cel czysto telewizyjny. Dewiza zawarta w tytule cyklu realizowana jest konsekwentnie. Tym, oczywiście, T-O cieszy się najbardziej i dla uzasad-

nienia tej radości przystępuję do omówienia piątego odcinka cyklu. No sił on nazwę „Orkiestra i batuta” i nadany był 26 marca.

Koronnym pomysłem tego programu było skomponowanie specjalnie dla tego celu kantaty o orkiestrze. Podjął się tego znany kompozytor łódzki Tomasz Kiesewetter, zaś zabawnie libretto napisał Lech Emfazy Stefański. Kantata nazwana została „Orkiestro, zaśpiewaj o sobie”.

Ten właśnie utwór ma taki układ, że umożliwia przeprowadzenie analizy orkiestry symfonicznej i ustalenia roli, jaką w niej spełniają poszczególne instrumenty. Przyznam się, że tak pogładowego, a zabawnego równocześnie wykładu jeszcze nie słyszałem.

Każdy fragment kantaty demonstrował i objaśniał inny instrument, przy czym o określonym instrumencie śpiewał z jego towarzyszeniem śpiewak, którego rejestr głosu odpowiadał rejestrowi tegoż instrumentu (np. sopran o skrzypcach, alt o altówce, tenor o wiolonczeli, bas o kontrabasie — że wymienię tylko instrumenty smyczkowe).

Demonstracja instrumentów w bezruchu, potem w czasie wykonywania fragmentów kantaty, ukazywanie grup instrumentów i całej orkiestry, solistów i chóru — to wszystko tworzyło bogatą, różnorodną warstwę obrazową. W oparciu o nią znakomicie słuchało się muzyki i dawkowanych z umiarem, dowcipnych komentarzy J. Cegieły.

Zastanowić się przy tym wypada nad przyczynami, dlaczego program „Słuchamy i patrzymy” jest tak bardzo telewizyjny. No bo czy podobny efekt dałoby się osiągnąć na sali koncertowej, albo w kinie? Z pewnością nie! Właśnie specyficzny odbiór programu TV powoduje, że taka mieszanina koncertu, pogadanki popularnonaukowej i widowiska zlewają się w jedną całość, którą przyjmujemy chętnie i bez znużenia. Synteza różnych form wyrazowych dokonuje się na ekranie telewizora.

Nie wiem, czy cykl katowicki realizowany będzie długo. Może znudzi się autorom? Albo zagłuszony zostanie przez warszawską konkurencję? Byłoby to z pewnością połączone ze stratą dla programu TV. Uważam, że takich właśnie inicjatyw — na różnych polach, nie tylko muzycznym — powinno być w telewizji jak najwięcej. I powinno się im dawać zielone światło!

Brawo dla pomysłodawców, brawo dla wykonawców!

Władysław Głowacki

spektakle tygodnia

Teatry	Spektakle	Widzów	Procent
WIELKI			
— „Zemsta nietoperza”	1	1260	100
— „Pan Twardowski”	1	1260	100
— „Romans gdański”	1	1170	93
— „Jezioro łabędzie”	1	1178	94
— „Cyrylak sewilski”	1	1260	100
— „Straszny Dwór”	1	1235	98
NOWY			
— „Gra miłości i przypadku” (w Tomaszowie Maz.)	2	1200	100
— „Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	4	2800	100
— „Zeglarski”	2	1400	100
— „Słuby panieńskie”	1	700	100
— „Bliski nieznajomy”	5	1000	100
— „Księżyc święci nieszczęśliwym”	1	200	100
JARACZA			
— „Wesele”	5	2720	87
7.15			
— „Znamy cię tylko z widzenia”	5	2100	100
POWSZECHNY			
— „Kawior i kaszanka”	2	1320	100
— „Rzecz listopadowa”	1	500	80
— „Czarna komedia”	2	1320	100
— „Fircyk w zalotach”	5	834	58
TŻL			
— „Psy”	4	903	78
OPERETKA			
— „Turniej w Rio de Maracasso”	6	5423	81

O FILMACH DOBRZE I ŹŁE



„Pan Wołodyjowski” — film Jerzego Hoffmana i Jerzego Lipmana jest w polskiej kinematografii siódmym filmem z serii wielkich widowisk filmowych. Przypomnijmy te filmy: „Krzyżacy”, „Popioły”, „Faraon”, „Rekopsis znaleziony w Saragossie”, „Hrabina Cosel” i „Lalka”. Łączy te filmy jedno — wyrosły one z literackiej inspiracji, a ich twórcy podjęli się sprawy szczególnie odważnej, sięgając do książek, które otoczone legendą interpretacji wrosły szczególnie silnie w świadomość narodową, będąc przy tym często tej świadomości czynnikiem kształtującym. Toteż każda niemal premiera polskiego wielkiego widowiska filmowego staje się początkiem wielkich, prawie ogólnonarodowych dyskusji.

Powstawaniu tych filmowych adaptacji polskiej klasyki literackiej towarzyszy za wsze atmosfery nieufności, krytycy literaccy i filmowi ostrą zawczasu piórą, czytelniczki i widzowie ze zniecierpliwieniem oczekują chwili startu. Każda taka, nawet najbardziej drugorzędna występek filmowego twórcy dyskusja spełnia jednak znakomitą kulturotwórczą rolę. Zapomniane prośby, otoczone legendą dostojne książki przeżywają swój nowy dzień. Zaczyna się o nich mówić, przypominając młodzieńcze lektury, książki wychodzą ze szkolnej kłasy, zaczyna znów żyć aktywnie. Do jednego wszakże czytelnika i widza nie zdołał się jeszcze przyzwyczaić — do faktu istnienia obok siebie dwóch utworów na równych prawach. Czynnikiem warunkującym akceptację dzieła filmowego jest w większości przypadków jego wierność wobec literackiego pierwowzoru. Niewielu filmom — adaptacjom udało się wywalczyć miejsce samodzielne w dziejach kultury narodowej. „Popiół i diament” Wajdy jest w tym względzie niemal klasycznym a potwierdzającym fakt, że idea pełnej wierności nie musi być czynnikiem determinującym sukces utworu filmowego.

Choć trudno w tych samych kategoriach intelektualnych dokonywać medytacji nad „Popiołem i diamentem” i „Panem Wołodyjowskim” można temu drugiemu filmowi wróżyć sukces w jednej mierze podobny. Filmowy „Pan Wołodyjowski” zyska so-

bie prawo równorzędności partnerstwa w świadomości dotychczasowych czytelników książki Sienkiewicza. Jeśli sądzić po dotychczasowych doświadczeniach adaptatorów polskiej klasyki twórców filmu udało się rzecz rzadką. Znaleźli dla klimatu sienkiewiczowskiego dzieła adekwatny obraz filmowy, właściwy rytm opowieści i to co decyduje o sukcesie wśród szerokiej publiczności, zdołali przekonać o tym, iż bohatery ich filmu są autentycznymi bohaterami książki.

Ten sukces jest jednakże wynikiem wewnętrznej prawdy dzieła mistrza powieściowej akcji. Refleksja towarzysząca Trylogii, a więc i „Panu Wołodyjowskiemu” jest zawsze końcowym wynikiem jej lektury, zamkniętej cytatem o „pokrzepieniu serc”. Będąc w trakcie lektury, upijamy się przede wszystkim arcyszuką prowadzącą akcję, dynamizmem, wyrazistością postaci.

Profesor K. Wyka wykrył w Trylogii prawidłowości współczesnego westernu. Idąc tym tropem, w „Panu Wołodyjowskim” odnajdujemy westernowe echa bez trudu. Świadomość tego towarzyszyła wiadom, że twórcy filmu. Otrzymaliśmy zatem polski western nasycony historią, patriotycznym gestem, romansowymi wątkami i okrucieństwem a przy tym owiający smutkiem i melancholią tak bardzo bliską tej ostatniej części sienkiewiczowskiego dzieła.

Mówienie w przypadku polskiego filmu historycznego o wierności wobec historycznego szczegółu, rekwizytu czy kostiumu to tylko potwierdzenie dużej rzetelności naszych twórców. Rzecz w momencie startu produkcyjnego jest już przesądzona, nasze zaufanie jest tu niemal pełne. Przy okazji „Pana Wołodyjowskiego” jednakże nie można nie podkreślić faktu, że tak do brzo polskiego historycznego kostiumu jeszcze nie noszono.

Swoboda i prawdziwość postaci jest niezaprzeczalnym atutem filmu. A przecież bardzo baliśmy się czy Zagłoba, Basia, Azja a nade wszystko pan Michał zdołają w swym filmowym ucieleśnieniu dorównać pyszności książkowych sylwetek. Talent i intuicja aktorska Tadeusza Łomnickiego zwycięsko uporały się z arcytrudną postacią małego rycerza. Pan Michał jest w filmie rzeczywiście mały i wielki, mały postacią i wielki duchem, cokolwiek śmie szny w romansowych opalach, bohaterski, gdy służy Rzeczypospolitej. Ta umiejętność przeobrażania się bohatera wtedy, gdy grają larum to podstawowy wyznacznik aktorskiej koncepcji pana Michała. Te słowa aplauzu wobec aktorstwa Łomnickiego odnieść można niemal do wszystkich postaci filmu. Nie zawiedli nas ani aktorzy, ani prowadzący ich reżyser. Przez postaci filmu zobaczyliśmy ładny kawałek historii sarmackiego ducha w do- brym tego słowa znaczeniu.

Wydaje się jednak, że w przypadku filmu „Pana Wołodyjowskiego” mówić trzeba przede wszystkim o sztuce operatorskiej, którą firmuje Jerzy Lipman.

Sienkiewiczowskie słowo, zdanie i fraza znalazły w filmie swój znakomity odpowiednik, sugestia obrazu jest tak samo silna. Obraz żyje, tętni prawdą, tworzy atmosferę i klimat scen kameralnych, batalistycznych i relacji pejzażowych. Obraz syci oko wrażeniami niezapomnianymi, nie sposób tu wyciszyć wszystkie, ale zwrócić uwagę trzeba na nocne pejzaże, na scenę oczekiwania przez Nowowiejskiego i jego ludzi na ordę tatarską, na szturm na Kamieniec Podolski i jazdę polskiej husarii. Tak w polskim filmie jeszcze nie fotografowano, takiego piękna i klimatu obrazu jeszcze nie zdołano osiągnąć.

A same przypadki pana Michała i jego przyjaciół? Cóż, obronił się sam, zwłaszcza, że dano im piękną oprawę i światło aktorów, którzy znakomicie podają sienkiewiczowski dialog.

Nie zgodzę się z nikim kto zechce przekonywać mnie, że na szable walczyć można jeszcze lepiej, że można było nadać akcji większe tempo. Dla mnie siłą filmu, jego zwycięstwem są uczucia, które budzi. Tym uczuciem dojmującym, a tak rzadkim i w dzisiejszych czasach wstydlwym jest wzruszenie.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MÓZGI ELEKTRONOWE ODSZYFROWUJĄ ARCHAICZNE TEKSTY

● Od pół wieku uczeni studiowali i próbowali odczytać pismo ludów zamieszkujących cztery i pół tysiąca lat temu na północno-wschód od rzeki Indus. Próbowano je odczytać jako pismo obrazkowe lub sylabiczne. Nie udało się, ale jednak żadnych rezultatów.

Ostatnio trzech lingwistów fińskich odczytali owe pismo przy współpracy matematyka, specjalisty od mózgu elektronowego. Okazało się, że niektóre znaki symbolizowały jedynie reguły gramatyczne. I tak np. wizerunek człowieka niosącego dwa ciężary na końcach drąga oznaczał jedynie liczbę mnogą. Grzebień charakteryzował rodzaj żeński, a wsłanianie do łodzi to znak, że rzeczownik występuje w dopełniaczu. Odczytanie pisma przyczynia się w dużym stopniu do poznawania starożytnej cywilizacji ludów posługujących się tym pismem.

Podobnie mózgi elektroniczne pomogły radzieckiemu badaczowi

w Knorozowowi w odczytaniu pisma Majów. Uczeń amerykańskiego przypuszczał, że każdy znak tego pisma oznacza jeden wyraz. W archiwach inkwizycji zachowały się notatki niejakiego de Landa, zawierające alfabet pisma Majów. Stosując go jednak nie udało się odczytać starożytnych rękopisów. Jurija Knorozow wpadł na pomysł, że alfabet de Landy nie oznacza właściwych dźwięków, lecz jedynie nazwy liter w języku hiszpańskim. Wychodząc z założenia, że w każdym niemal języku słowa składają się nie tylko z rdzenia, tematu lecz z dodatków gramatycznych jak przedrostki, przyrostki, końcówki, badacz uporządkował materiał według powtarzających się znaków. A do tego posłużył się mózgiem elektronicznym. W ten sposób pismo Majów zostało po raz pierwszy odczytane. Dzięki temu i zagadka cywilizacji tego ludu przestała być tajemnicą.

ŚMIERĆ FRANCUSKIEGO POETY

● W wieku lat 87 w Sanary we Francji zmarł poeta, dziennikarz, powieściopisarz,

krytyk sztuki i historykograf malarzy, André Salmon.

W roku 1964 otrzymał za swą twórczość poetycką Wielką Nagrodę Akademii Francuskiej.

W swoich pamiętnikach zatytułowanych „Souvenirs sans fin” (Wspomnienia bez końca) pozostawił szereg literackich portretów wybitnych ludzi świata artystycznego, a znalazł wielu znakomitych malarzy i poetów, takich jak Picasso, Cendrars, Apollinaire, Max Jacob.

INEDITY PROUSTA

● W Chicago i Londynie, w serii „University of Illinois Press” zostały opublikowane nieznane dotąd fragmenty prozy Prousta.

NAGRODA IM. MAXA JACOBA

● Prix Max-Jacob otrzymał czterdziestoletni poeta Jacques Réda, pracownik reklamy, za zbiorek wierszy pt. „Amen”, wydany u Gallimarda. Zbiorek zawiera poezję pisaną przez piętnaście lat.

ALEKSANDER ARCHIPENKO

● W paryskim muzeum Rodi na odbywa się retrospektywna wystawa dzieł Aleksandra Archipenki (1887—1964). Na wystawie zgromadzono około 80 eksponatów. Są to głównie rzeźby wykonane w brązie oraz trochę litografii i rysunków.

Właścicielką eksponowanej kolekcji jest wdowa po rzeźbiarzu pań Frances Archipenko.

Aleksander Archipenko urodził się w Kijowie w 1887 r. Po odbyciu studiów w rodzinnym mieście wyjechał, mając lat dwadzieścia jeden, do Paryża i zapisuje się do szkoły sztuk pięknych. W dwa lata później uruchamia w Paryżu swoją własną, małą akademię, w której kształci adeptów rzeźby.

Lata 1908—1921 które rzeźbiarz spędza w Paryżu są czasem narodzin kubizmu i jego pierwszych osiągnięć. Archipenko jest jednym z głównych reprezentantów tego kierunku. Mieszkając w Paryżu artysta przyjaźnił się z poetami takimi jak Apollinaire i Cendrars oraz malarzami czy rzeźbiarzami jak Duchamp-Villon, Laurens, Zadkine, Modigliani, Léger. Mieszkając blisko tego ostatniego, Archipenko widuje się z nim często. Obydwaj oprócz sztuk plastycznych, lubią muzykę i śpiew, toteż Léger grywa na harmonii, Archipenko zaś, mając piękny głos, śpiewa.

Młodzi poeci, malarze, rzeźbiarze zbierają się często na Montparnasse w atelier Archipenki by dyskutować o sztuce. Niektórzy z wybitnych poetów, zaprzyjaźnionych z rzeźbiarzem, piszą nawet wiersze dla uczczenia jego twórczości. I tak np. Blaise Cendrars aby upamiętnić rzeźbę Archipenki pt. „Głowa” poświęca jej swój poemat. Dzieła Archipenki charakteryzuje lekkość uzyskiwana m. in. przez umiejętne i twórcze sto-



Aleksander Archipenko.
Kobieta z wachlarzem

sowanie prześwitów, duża zwartość i ekspresja formy. W latach 1921—1923 rzeźbiarz przebywał w Berlinie, gdzie oprócz pracy twórczej prowadził własną placówkę szkolenia artystycznego. Potem wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie również zakładał kursy artystyczne. Od roku 1928 zostaje obywatelem amerykańskim. Aż do śmierci z równym zapałem oddaje się własnej twórczości jak i działalności pedagogicznej. W Europie, wkrótce po swym wyjeździe, zostaje niemal całkowicie zapomniany i obecna wystawa tego ciekawego, jednego z najwybitniejszych rzeźbiarzy kubistycznych, jest przypomnieniem jego wybitnych osiągnięć artystycznych.

Bez strachu

ZŁY CZŁOWIEK

Zły człowiek mieszka blisko. Kiedy nałęcz słuch słyszę jak zrywa się o świecie z łóżka i rzuca na podłogę swoje ciężkie, pokraczne buty, w których często go oglądałem gdy spocyni wracał do domu z pracy. Zły człowiek krzyczy na żonę, gdy ta przypala mu mleko, potraca dziecko i odsuwa przymilnego kota odmawiając mu najdrobniejszej pieczy. Spiesząc wybiega do pracy i powoli, sapiąc z pracy powraca. Nie odziera jednym słowem przemawiającej do niego żony — widocznie leży na łóżku i zaciekle milczy deklując się złudną samotnością — widocznie z kimś się sprzecza w pracy i wypowiedział już wszystkie złe słowa przypisane na ten dzień. Jego złość jest niema, wypowiadana chybionymi ruchami drobnych mięśni twarzy. Pies złego człowieka szczeka, a on powoli uderza butem w podłogę, aż trzęsie się cała kamienica i ja w moim mieszkaniu uchwyceni zostają w obym, narzucony rytm. W takt tych uderzeń muszę myśleć bez względu na treść moich myśli. Zły człowiek nie mogąc wpłynąć na treść moich myśli wpływa na ich formę. Wreszcie strudzony uderzeniami zasypia, ale ja wiem, że w każdej chwili może się zerwać i bardzo donośnie zapukać do moich drzwi. Prosi o sznur do bielizny, o dwadzieścia groszy, o zapalnik, o garść soli. Przyjdzie po raz drugi i trzeci mówiąc, że sznur jest zbyt krótki, dwadzieścia groszy to zbyt mało, zapalnik są mokre, a sól brudna. Opuści mnie wreszcie aby nękać innych. Fatalna moc zła, która go umartwia pedzi go do wszystkich drzwi, do wszystkich mieszkań. Patrzy w twarz wszystkich ludzi, każdemu wypowie swoją małą prośbę, swój drobny żal. Podrzuca swoje smutki jak kukulce jaja i mimo zmęczenia z na pięć uważa czeka aż ogrzane ukradzionym ciepłem wyfruną z cudzych mieszkań i cień ich skrzydeł okryje mrokiem kamienic. Zły człowiek cieszy się mówiąc: „oto nie ja jeden jestem smutny, smutny jest cały świat”. Przeczył to, że okrył ciemnością tylko jeden dom — na świecie jest wiele domów, których nie ogarnęły skrzydła jego smutków. Przeczył to, że są tacy, którzy nie dostrzegają jego cieni. Zły człowiek nie wie, że cierpienie rośnie w miarę jak oddają nim innych. Zły człowiek wierzy tylko w siebie, kiedy zamyka oczy, żona, kot i dziecko, nawet buty, zabierane są ze świata przez niewidzialne ręce. Istnieją, wystawieni tylko dla jego otwartych, pełnych spojrzeń. Takie są mniemania i poczucia złego człowieka w kwestii domowników i domowych sprzętów. Zły człowiek uwierzył we własną samotność — to jego żołądek uginał jego serce i stał wszelkie męki. Och, gdyby dobrze trawili, och gdyby miał regularny puls, och gdyby ze świata zeszli wszyscy, którzy udają, że istnieją — to znaczy żeby wygasły małe żony, dzieci, kota i butów i sąsiadów, którzy udają, że gdzieś niedaleko mieszka, a są przecież poza granicami bytu. Znużony światem i ciągle bez wiary w świat zły człowiek przykłada głowę do poduszki. Jest noc, zły człowiek płacze bardzo czystymi łzami, gdyby noc trwała dłużej obu dźwigi się dobry.

BERNARD SZTAJNERT

- DOŁCE VITA POD SZCZYTAMI — Karola Badziaka,
 - BITWA O POLANICĘ — Feliksa Bąbola,
 - ROZMOWA Z MICHAŁEM WOŁODYJO-WSKIM
 - ORAZ NOWELA KRYMINALNA — Sąd
- to tylko część materiałów, które drukujemy już w następnym numerze „ODGŁOSÓW”.

W związku z przygotowawaną przeze mnie edycją dramatów Tadeusza Micińskiego uprzejmie proszę wszystkich, którzy są w posiadaniu nieznanymi materiałami rękopiśmiennymi pisarza (w tym także — korespondencji) o ich wypożyczenie lub udostępnienie do wglądu. Wiadomości w tej sprawie proszę nadsyłać na adres: Teresa Wróblewska, Warszawa, Żoliborz, ul. Toeplitza 2 m 85, albo na adres Wydawnictwa Literackiego: Kraków, Rynek Główny 25.

TERESA WRÓBLEWSKA

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

„TRĘDOWATA” CZYLI Druk NOTORYCZNIE ZBĘDNY

HRABIANKA W SZPONACH ZBOJCÓW — OKŁADKI „AWANGARDY” — POCZTOWCY CZUWAJĄ — KSIĄŻKA CZY LEGENDA? — KTORA „SZKOŁA” MA RACJĘ?

Bibliofilstwo to piękna przygoda, nieustające tropienie książki pięknej czy zapomnianej. Ale nie tylko. Bibliofilskie pasje mogą dotyczyć także książek wcale niepięknych i wciąż jeszcze pamiętanych jak choćby słynna „Trędowata” pani Heleny Mniszek z Radomyskich... To także jest jakiś fragment (margines?) kultury. Ta literatura, która przedwojenne instrukcje bibliotekarskie określały mianem „druków notorycznie zbędnych” — odgrywała przecież jakąś rolę na czytelnym rynku. Zgoda — wypaczała gusty czytelnice, zgoda — ukazywała świat wymyślony i zafalszowany — ale także bardzo często była pierwszym etapem w czytelnicy edukacji. Etapem, po którym przyszedł następny — znajomość z literaturą prawdziwą, ambitalną, wielką.

Opowiadał krakowski bibliofil i wydawca — zmarły już dyrektor Wydawnictwa Literackiego, Aleksander Sła-

pa, że swoje bibliofilskie pasje zaczął właśnie od takich zesztychów z przysgodami „Szerłoka Holmesa”. Potem jednak sprzedał swój zbiór i... kupił Kraszewskiego.

Dr Janusz Dunin, którego bibliofilskie pasje obejmują także owe tandetne „druki notorycznie zbędne” podpisuje się pod opinią, że dla pełnej oceny zmian zachodzących w kulturze współczesnej konieczna jest znajomość nie tylko zjawisk nowych, ale również tego co zostało z naszej kultury wyeliminowane. I stąd — z tych zainteresowań i pasji — zrodził się pomysł wystawy i odczytu dr J. Dunina.

Na wystawie dziesiątki owych publikacji tandetnych — w dostojnych murach Biblioteki Uniwersyteckiej wyłożono za szybami gablot książki i pisma z zupełnie innego bieguna niż przywykli oglądać oczy bywalców.

„Leonardo Pratto — pogromca ognistego miecza” —

„Marietta-hrabianka w szponach zbójców i dręczycieli” — „Krwawa pani na Czelecach” — zapomniane już zeszyty serii „Co tydzień powieść”... Jest i coś z literatury dydaktycznej — na przykład „O cudownym nawróceniu dwu pijaków — o powieści prawdziwa przez jednego z nich opowiedziana”. Dlaczego opowiadał tylko jeden — nie wiadomo. Albo inna książeczka. Przestroga i rady „dla panien służących osobliwie po miastach”. I po tem znów zeszyty „Co tydzień powieść” — „Gabinet nr 13”, „Zemsta mściciela”... Ale jakież to znajome nazwisko pod sensacyjnym rytykiem na okładce? Tak, tak — Karol Hitler, wybitny awangardowy plastyk. No cóż, z samej „awangardy” trudno było wyżyć.

Odczyt dr Janusza Dunina nosił tytuł „Powyżej i poniżej Mniszkówny — przyczynek do dziejów polskiej książki i czytelnictwa”. Powyżej i poniżej. A sama Mniszkówna? „Trędowata”? I o niej było. Opowiadał dr Dunin: „Udało mi się zdobyć unikalny przeciwieństwo egzemplarz „Trędowatej”. Początek wysłałem książkę do Cieszyńska, aby mi ją ładnie oprawiono. Niestety — pocztowcy czuwa! — „Trędowata” zniknęła... Nie ma więc jej na wystawie — jest tylko zawia domienie z pocztu, że za zaginioną książkę nadawcy Januszowi Duninowi pocztą zwraca złotych 47 groszy 50...”

„Trędowata” obrosła już legendą i właściwie stała

się bardziej symbolem złej, tandetnej literatury niż realną, konkretną książką. O „Trędowatej” piszą historycy literatury, są nawet — jak mówi Janusz Dunin — „dwie szkoły” w tej kwestii. Jedną, którą reprezentuje Julian Krzyżanowski twierdzi, że „Trędowata” należy wznosić — druga reprezentowana przez Jana Błońskiego jest przeciwna wzniesieniu. Opo wiaduję po stronie Błońskiego — tę piramidę bzdurę pisaną cudacznym językiem zostawmy sobie w charakterze symbolu. Na pewno nie ma potrzeby w kosztowny i czytelnicy niebezpieczny sposób eksperymentować dla przeprowadzenia dowodu, że książka przegra w zetknięciu ze współczesnym czytelnikiem. Zważając, że wcale nie jestem taki pewien czy przegra, wcale nie jestem taki pewien naszej czytelnicy edukacji. Jeszcze stosunkowo niedawno (pisałem o tym w „Notatniku Kulturalnym” (widziałem na bazarze „Trędowata” w cenie... 500 zł. Straganiarz był niewątpliwie człowiekiem interesu i znał rynek.

Przypomnę więc jak to się działo: zapytał pewnego kombinatora: „czy oskarżony działał z chęcią zysku?” Kombinator odpowiedział: „czy Wysoki Sąd przypuszcza że ja — człowiek interesu — mogłbym działać z chęcią straty?” No właśnie! Jeśli ktoś przepiśnie powieści cido Heleny Mniszek na maszynie i wyceni ją na pół tysiąca — to znaczy, że wie iż znajdzie nabywców. Nawet za tę cenę. W tym

względnie bardziej wierzę w orientację handlarzy z Czerwonego Rynku niż w przekonania historyków literatury, że „Trędowata” poniesie klęskę u dzisiejszego czytelnika.

Uarto się przekonanie, że „Trędowata” to była literatura dla kucharek. Nieprawda — tę książkę czytała tak że inteligencja i nie mam powodu nie wierzyć Januszowi Duninowi, który to dobitnie przypominał. Zarzykowałbym więcej. Kto wie czy szalone powodzenie „Jammy Michalikowej” z parafrazą „Trędowatej” (luźna, bo luźna, ale jednak) nie ma źródła właśnie w pierwotności „Magazynu Polski” — pismo przecież raczej ekskluzywnie opublikował w swoim czasie skrót powieści Heleny Mniszek. Jakim to szalonym powodzeniem cieszył się ów numer? A jakim powodzeniem cieszyła się powieść „Na ustach grzechu”. Magdaleny Samozwaniec? Czy nie dlatego, że owa parodia była — mimo wszystko — tak bliska oryginałowi?

Myślę więc, że „Trędowata”, która awansowała do rangi symbolu złej literatury — powinna na tej pozycji pozostać. Jako konkretna książka niech będzie nadal „drukiem notorycznie zbędnym”. Jej miejsce w panopticonie i archiwum kultury, w gablocie takiej właśnie kuriozalnej wystawy jak ta w Bibliotece Uniwersyteckiej. A na wystawę pójdź warto, choć uprzedzam — gabloty są dobrze zamknięte i szyby solidne.

JERZY WIDOK

WIOSENNY SPACER



Dobrze jest wiosną pójść na niedzielny spacer — usiąść w parku na ławce, przejść się alejami... Nic więc dziwnego, że w łódzkim parku nasz grafik STANISŁAW IBIS-GRATKOWSKI spotkał nie tylko tury, ale także znane postacie z kart polskiej literatury i historii.

Nietrudno chyba zauważyć w tym tłumie spacerujących... stop. Tego oczywiście nie powiemy, to zadanie dla naszych Czytelników, którzy owe postacie muszą sami rozszyfrować. Możemy jednak na tyle uchylić rąbka tajemnicy, aby powiedzieć, że w tłumie spacerujących łódzian znajdują się znane pary z polskiej literatury i historii. Niestety, rozdzielili je tłum spacerowiczów i zadaniem Czytelników jest ich powtórne połączenie. Możemy jeszcze powiedzieć, że wśród spacerujących mamy trzy pary bohaterów polskich powieści i trzy pary historyczne.

Do zamieszczonego poniżej kuponu należy wpisać obok cyfr odpowiednie litery, oraz nazwiska lub imiona postaci.

Wśród zwycięzców konkursu, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosujemy następujące nagrody:

- I nagroda — adapter,
- II nagroda — radio tranzystorowe,
- III i IV nagroda — komplety płyt do nauki języków francuskiego i niemieckiego, oraz trzy nagrody-niespodzianki.

Termin nadsyłania rozwiązań — do 15 kwietnia br. Adres: Łódź, tyg. „Odgłosy”, Piotrkowska 96, z dopiskiem na kopercie „Wiosenny spacer”.

Nazwisko i imię					
Adres					
Zawód					
	1	2	3	4	5



Lewym okiem

KRĄŻENIE WODY W PRZYRODZIE

Kiedy w moim przedwojennym, warszawskim mieszkaniu zaczynało kapieć z kranu, co było zresztą niezwykle rzadkim ewenementem, wzywało się staruszkę ślusarza, mieszkającego z żoną w tej samej, starej jak on, kamienicy. Ślusarz zajmował maleńki pokój bez wygod i nie płacił komornego, a za to naprawiał w całym domu co trzeba, zwłaszcza instalacje — jak się dziś pięknie mówi — hydrauliczne.

Żeby uszczelnić jeden głupi kran w czyjejś kuchni, ślusarz schodził do piwnicy i zamykał wodę wszystkim lokatorom. Potem schodził sześć — osiem razy, otwierał i zamykał, próbował skuteczności naprawy. Nie miał jednak za dużo roboty. Mosiężne, staroświeckie krany trzymały dobrze, wielkie i ciężkie zbiorniki w ubikacjach działały nawet po zbombardowaniu domu, trwały na wypalonych ścianach, gotowe do dalszej służby.

W naszym dzisiejszym bloku każde mieszkanie ma do dyspozycji wiele „punktów wodnych”. Do każdego z nich woda przechodzi przez wiele kolejnych przeszkód, przez różne pośrednie krany i zakrętas. Można nie wychodząc na schody zamknąć dopływ do łazienki, utrzymać

do kuchni, można odwrotnie. Można wyłączyć ze ściany całą baterię na sucho, przysnąć połączyć ze zlewozmywakiem, ubikację z elektrociepłownią... Niestety, można tylko w założeniu. W praktyce nic nie można, bo nic nie działa całkowicie tak, jak powinno.

Woda to groźny żywioł. Mówię o wodzie w kranie. Leci kiedy chce i jedyna rada, to ubezpieczyć mieszkanie od szkód powodziowych. Już raz bez uprzedzenia wystrzelił mi wieczorem jakiś „element” z kaloryfera i trzeba było zmienić parkiet. „To dziady, jak oni to spaskudzili!” — mówił wezwany specjalista. Po tym specjalście było jeszcze dwóch innych w sprawie tego samego kaloryfera i każdy mówił to samo. „Cóż to za dziady!”... — itd.

W ciągu dziesięciu lat trzy razy zmieniałem zbiornik w ubikacji, bo każdy wytrzymał pół roku. Błąd w rachunku? Nie podobnego. Wytrzymał pół roku, a potem my musieliśmy wytrzymać. Woda płynęła dołem, kapiała z góry, wychodząc z domu albo na noc zamykało się zawór na amen, podstawiło garnki i miski. O zwykłym kupnie rezerwuaru nie ma co marzyć. Pozostaje tylko liczyć na to, że trafi się hydraulik, który zaoleruje przyniesienie „z własnych zapasów”. Nie ludź się ani przez chwilę, co to znaczy: hydraulik pracuje na budowie, albo też przenosi zbiorniki z miejsca na miejsce. Mój stary i dziurawy zamontuje innemu klientowi jako nowy i dobry, po łada jakim zasmarowaniu dziury cementem. Dwa — trzy miesiące będziemy hydraulika błogosławić, tamten klient i my. Potem znacznie znów kapieć, płynąć, szumieć i straszyć.

Buduje się ogromnym kosztem drugą czy czwartą „nitkę” z Pilicy, żeby nadążyć z zaopatrzeniem miasta w wodę. Mniejszym kosztem można by zainstalować solidne krany z solidny-

mi uszczelkami, oraz zaopatrzyć sklepy w równie solidne rekwiizyty i części zamienne. Stawiam tysiąc przeciw jednemu, że to by się opłaciło lepiej i zlikwidowało nieustanny lęk przed zalewem tysięcy kuchni i łazienek. Nie wierzę młodemu facetowi, którego przysłała do nas pewna spółdzielnia. Spółdzielnia oferowała stałą konserwację i profilaktykę wszystkich urządzeń hydrauliczno-gazowych za 20 złotych miesięcznie. W ramach konserwacji i profilaktyki młody człowiek raz na miesiąc przekłubał szpiłką dziurki w bojlerze łazienkowym, żeby piomień był lepszy. Wszystko inne albo nie wchodziło w zakres jego obowiązków, albo „nie dało się zrobić” z wyższych przyczyn. „Jak oni tu dali takie miękkie (albo krzywe, albo inne) rury to nie się nie da zrobić” — mówił na przykład i zostawiał nas na pastwę kapiejącej rdzawej cieczy. — „Widzi pan przecież, że to jest źle zaplanowane i skopane, nie na to poradzę” — mówił innym razem. Ale mu nie wierzę. Zerwałem umowę. Sam — słowo daję — sam dałbym radę. To żadne cuda i ezoteryczność zawodu hydraulika polega tylko na owych możliwościach zdobycia gdzieś czasami pływaka lub zaworu, których na rynku nie ma. Dałbym radę, gdybym mógł kupić co trzeba.

Nie, nie mogę kupić. Ubikację splukujemy dżbankiem. Środkiem wanny sączy się brunatna struga. W kuchni ejurka i ciurka — prosto z Pilicy. Metal, z którego zrobiono krany, jest tak miękki, że po paru chwytach kluczem francuskim nie ma już żadnych kantów ani rowków, a za to czerni ręce przy dotknięciu, więc pewnie czerni też i wodę do picia. Używane i polatane zbiorniki krązą za sprawą hydraulików z domu do domu. Woda też krąży. Groźny żywioł!

CWIEK